DAGUEROTYPY WARSZAWY.

TOM DRUGI.

POSZYT V.

DAGUEROTYPY WARSZAWY.

DAGUERROTYPY

WARSZAWY

ROMANS OBYCZAJOWY

przez

Edwarda Bogusławskiego.

TOM V.

WARSZAWA,

w Drukarni Stanisława Nowakowskiego

przy ulicy Długiéj Nr. 557.

(w domu dawniéj Połkańskie zwanym.)

—

1847.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby Egzemplarzy.

w Warszawie d. 25 (9) Marca 1847 r.

Cenzor Niezabitowski.

I.

OKNO NA PRZECIW.

Tegoż samego dnia w którym Ernest oddał piérwszą wizytę pani Robińskiej, Henryk dążył do domu Wizińskich. Usłyszawszy od Ernesta, że nowe jego znajome, zajmują drugopiętrowy lokal, naprost pomieszkania rodziców Laury; zgorszony do najwyższego stopnia, tém, według jego mniemania, poniżeniém się młodzieńca, który mógł zawiérać znajomości z osobami nie

mieszkającemi w salonach, ani mającemi licznej służby — postanowił udać się do Wizińskich, ażeby tu, wspólnie z Laurą, posiadającą w wysokim stopniu sztukę wyszydzania, wyśmiać i Ernesta i jego towarzyszki, do czego wiele im posłużyło samo mieszkanie pani Robińskiej, którego część, z balkonu Wizińskich, dokładnie widzić można było.

Mając na sobie ubranie, tylko co wyszłe z pod igły, z brylantową szpilką wpiętą w koszulę, również z brylantem na palcu, zajechał Henryk przed mieszkanie Wizińskich, a rozkazawszy dorożkarzowi czekać na jego powrót, udał się na piérwsze piętro.

Ta świetna zmiana w ubiorze Henryka, jaką winien był pieniędzom wieśniaka, tak zdziwiła Laurę i panią Wizińską, zwykle widzących Potrzaskiego przyodzianym elegancko, lecz nie zbyt kostownie, iż o mało nie zapytały się przybyłego, czy nie odzie-

dziczył sukcessyi... lub nie wygrał na loteryą.

— Czy wiecie panie!?—zawołał Henryk siadając—w jakim przyszedłem do nich interesie?

— O bardzo pięknie—rzekła Wizińska, samemu się przyznawać, iż przyszedłeś dla jakiegoś interesu.

— *Pardonne*... lecz żeby panie wiedziały co to za interes, pewno nie miałybyście mi za złe, iż przyszedłem odkryć go przed wami.

— No... cóż takiego?—zapytała Laura.

— Jest to coś tyczące się Ernesta.

— Jakto Ernesta?—powtórzyła zdziwiona Laura—wytłomacz się pan jaśniéj.

— Sądzę, że mówię dosyć wyraźnie, mówiąc, iż jest to tajemnica tycząca się Kalickiego.

— Alež jaka?—zapytała Wizińska—czy jéj nam pan nie odkryjesz?

— Zaraz... zaraz — rzekł Henryk, zbli-

żając się do balkonou i spoglądając na okna przeciwnéj kamienicy — otóż i jasny dowód — dodał odwracając się do dwóch, kobiet, zdziwionych temi jego obrotami — otóż i on sam.

— Kto?... pan Kalicki?

— Tak jest.

— Gdzie?... czy na ulicy?

— Nie... nie... tu... w tych oknach na drugiém piętrze... widać mu tylko głowę.

Powodowane ciekawością Laura i pani Wizińska, powstały i zbliżyły się do mówiącego.

— Jak sądzisz Lorciu? — zapytała pani Wizińska swéj córki — czy to rzeczywiście pan Kalicki?

— Tak mi się zdaje mamo.

— Ależ u kogo on być może?... kto z jego znajomych może mieszkać w téj, tak niepozornéj kamienicy... chyba jaki rzemieślnik.

— Przecież u rzemieślnika, nie miał by potrzeby tak długo siedzić.

— Co w tém, to ja paniom pomogę— odezwał się Henryk—te pomieszkanie zajmują kobiety.

— Kobiety?.. i jakie?—zapytała z szyderczym uśmiechem Laura— i cóż porządnego może mieszkać w takich alkierzykach?.. muszą to być jakie ubogie szwaczki....

— Tego nie wiém... wiém tylko tyle, że Ernest—jak mi się zdaje, jest bardzo bliskim zakochania się...

— Zakochania się... i w kim?...

— Właśnie w jednej z tych, jak je pani nazwałaś szwaczek... ach! może i w téj... uważacie panie—dodał, wskazując ruchem głowy Emilią, która właśnie w téj chwili zwróciła się do okna, a spoglądając na balkon Wizińskich, pytała Ernesta o nazwisko Henryka.

— Otóż i on... nasz bohatér—rzekł znów Potrzaski, kiedy Ernest chcąc zadosyć uczy-

nić pytaniu Emilii, zbliżył się do niej, i ujrzał szydercze postacie Laury i Henryka.

— Ha! ha! ha! — zawołała śmiejąc się Laura, lubo w tym uśmiechu na pozór serdecznym, łatwo dostrzedz można było, ukryte: przymus i złość—ha! ha! ha! nie spodziewałam się, ażeby pan Kalicki, miał tak zły gust... człowiek na pozór tak dobrze ułożony... tak majętny... i wdawać się mu z lada kim... fe... to wcale nie pięknie...

— Lecz jak się to stało — rzekła Wizińska—że pan, który podobno razem z nim mieszkasz, mogłeś zezwolić, ażeby on podobne uczynił głupstwo....

— Już z nim nie mieszkam pani....

— Nie mieszkasz pan?...

— Nie... było mi niewygodnie... ciasno... a zresztą, jak panie mogą się domyślić, mieszkając z drugim, często można być wystawionym na różne nieprzyjemności... a nawet na straty... wolałem więc wynieść się do hotelu... tu jestem wolny jak ptak...

— Naśladujesz pan Łubowskiego—rzekła Wizińska—ale jemu nie ma się co dziwić... on, co tylko czasem przyjeżdża do Warszawy, nie może przeto mieć stałego pomieszkania.., chyba, gdyby się ożenił— i wzrok porozumienia rzuciła na Laurę.

— Ożenił—powtórzył Henryk—wątpię ażeby on to uczynił.

— A to dla czego? — zapytała bardzo prędko Laura.

— Mogą być różne powody..., Ale patrzcie panie — dodał natychmiast, zwracając wzrok na okno mieszkania pani Robińskiej, przy którém siedzieli Ernest i Emilia i pili herbatę — patrz pani, jak Ernest się uśmiecha... a ta młoda dziewczyna jakież oczki robi do niego... jak Boga kocham! biedny chłopiec może oszaleć...

— A szkoda go będzie — rzekła Wizińska... on, co by mógł zrobić świetną, znakomitą partyę... połączyć się z osobą mającą rodziców w znaczeniu... teraz zamknie

sobie świat, jeżeli nie znajdzie się kto, co by chciał powiedzić mu, że błądzi....

— Najpodobniej by było—odezwała się Laura—ażebyś pan, panie Potrzaski, jako jego przyjaciel, uczynił mu przedstawienie....

— Co to pomoże moja pani... zakochani są ślepi....

— Ach i pan Robiński!... witam—zawołała w tej chwili Wizińska, wyciągając rękę do wchodzącego Konrada.

— Moje uszanowanie — odpowiedział, z głębokim ukłonem młodzieniec.

— Prosiemy pana do nas! — zawołała Laura — pokażemy panu bardzo śmieszną parę.

— Gdzie?.. i jaką?.. *zapytał* Konrad, przysuwając się do *mówiącej*.

— A... oto tam — I wskazała Ernesta i Emilią.

Konrad rzucił okiem, i wnet schmurzył czoło, obraziło go bowiem szyderstwo Laury,

jakiem obarczała Ernesta i dom jego krewnéj.

— I cóż... nie śmiejesz się pan!—zawołała Laura—a przecież to wcale zabawne....

—I jak jeszcze—dodał Henryk — szczególniéj śmiesznie wygląda ta mała gryzetka... prawdziwie, że Ernest, przy niéj na żaka zakrawa....

— Panie—rzekł Konrad, nie mogąc dłużéj wytrzymać téj obelżywéj mowy—dla czego mianujesz gryzetką osobę, która przez swe postępowanie, nigdy pewno nie upoważniła cię do tego....

— I cóż... pewno jednak, nie musi być nic porządnego z téj jejmości... Ernest wié co robi....

— Panie!—zawołał ledwie się hamując Konrad—bądź więcéj delikatnym....

— I cóż tak się ujmujesz za jedną dziewczyną?.. a może i pan w niéj się kochasz?.. ha! ha! ha! wyborna była byto komedya, któréj można by dać tytuł: miłość epidemyą....

— Daleko lepiej głupiego półgówka— odpowiedział Konrad.

— A to co?—zapytał żartując Henryk— czy będzie pojedynek?...

— Panowie.., i o cóż się sprzeczacie— rzekła Wizińska.

— Prawdziwie... zkąd panom przyszło tyle się rozgadywać nad jedną szwaczką, czy tam magazynierką—dodała Laura.

— Nie pani... mylisz się—odpowiedział Konrad z godnością—ta bowiem młoda osoba jest bliską moją krewną... osobą bardzo szanowną... nie pozwolę więc, ażeby przy mnie z niej szydzono....

Te niespodziewane słowa młodzieńca, wyrzeczone głosem poważnym, tak pomięszały Henryka i dwie kobiety, że żadne z nich, nie wiedziało co mu odpowiedzić, a pani Wizińska, uważając, że Konrad zabiera się do odejścia, te zaledwie umiała wybąknąć słowa:

— Pan już odchodzi....

— Muszę iść pani... mam bowiem interes do szanownego jej męża... a właśnie ma być w swoim pokoju...

— Idź więc pan... ale z powrotem spodziewamy się, że raczysz jeszcze do nas powrócić....

— Nie wiem pani czy mi czas pozwoli....

Powiedziawszy to Konrad, skłonił się, i opuścił salon, ażeby przejść do gabinetu Wizińskiego.

Po jego odejściu, już ani Henryk—ani żadna z kobiet, rozstrojeni śmiałą odpowiedzią Konrada, nie myśleli o rozpoczęciu nowych szyderstw.

II.

WIZIŃSKI—KONRAD—ZOFIA I INNI.

—

Konrad opuściwszy pokój, w którym znajdowali się Henryk i Laura, udał się do gabinetu Wizińskiego, ażeby prosić go za synem pewnéj, ubogiéj wdowy, w tymże domu co i on mieszkającéj, a którego już od dwóch lat, znał jako bardzo pracowitego młodzieńca; dopomódz więc mu uważał swoją powinnością, tym bardziéj, że sądził, iż mu to za pomocą Wizińskiego bardzo łatwo przyjdzie

Kiedy Konrad wchodził do pokoju, Wiziński siedział i pisał, lecz natychmiast powstał usłyszawszy chód idącego.

— A to pan!—zawołał, obie podając mu ręce, i całując go w oba policzki — jakże mi się masz łaskawco?... no... proszę cię... usiądź... nie rób ceremonii... niech ci się zdaje że jesteś u siebie... no... no... siadaj!.. nie lubię jak kto przyjdzie i stoi.

Konrad wziął krzesło i usiadł.

— Czy widziałeś się z moją żoną?—zapytał znów Wiziński.

— Właśnie powracam z salonu—odpowiedział Konrad, lekko skłoniwszy głową.

— Czy jest kto z gości?

— Jest pan Potrzaski.

— Kto?... Henryk... nie lubię tego człowieka... za zbyt wielki fanfaron z niego... ale cóż za mogłeś mieć powód, że porzuciłeś kobiety, ażeby pogawędzić ze mną... starym.

— To samo, że mogę z panem mówić,

mogło by być dostateczną przyczyną mojego tu przybycia.

— Dziękuję ci żeś tak łaskaw.

— Nie dziękuj mi pan, bo tym razem nie przyszedłem bez interesu.

— Odkryj go kochany łaskawco!... odkryj go prędzej—zawołał Wiziński, chwytając rękę Konrada—nie uwierzysz bowiem jak jest miło, czynić przysługi tym, których kochamy.

— Ach panie! zbytek łaski.

— Nic wielkiego... żadna łaska... lubię cię... podobałeś mi się i kwita... ale jakiż to jest ten twój interes?

— Przychodzę prosić o wstawienie się.

— O wstawienie się, i za kim?

— Za pewnym, młodym człowiekiem, synem wdowy.

— A ma też on jakie dowody?... szkoły czy ukończył?

— Już półtora roku jak z nich wyszedł, i dotąd trudnił się przepisywaniem na ar-

kusze, ale wiész pan, jak to nie pewny sposób utrzymania się... tym bardziej, gdy kto ma starą i chorą matkę... chciał by więc poświęcić się takiéj pracy, która by mu na przyszłość mogła zapewnić stałą pensyą.

— A z czego będzie żył, jeżeli mu pierwéj wypadnie, dwa lub trzy lata, bezpłatnie pracować?

— Alboż to człowiek z wolą i energyą nie zdoła wszystkiemu zadosyć uczynić?... kto nawykły do trudów, nie ulęknie się, chociaż podwoi się ich brzemię.

— Aby tylko przez to nie cierpiały jego obowiązki?

— Ręczę za niego choć go nie znam prawie... bo ten, w którego piersi bije tkliwe, prawe serce... kto tak jak on kocha swoją matkę... ten każdym obowiązkom będzie umiał zadosyć uczynić.

— Wszystko to dobrze... lecz co się tycze wynalezienia mu miejsca, to będzie tro-

chę przy trudno... wszędzie bowiem tylu jest pracujących... że dalibóg! nie wiedzą co z niemi robić.

— A więc pan powiada, że z tego nic nie będzie?—zapytał Konrad, smutnie opuszczając głowę—biedny chłopiec!

— Tego jeszcze nie mówię... lecz powiedz mi pan... czemu wyszedłszy od tak dawna ze szkół, pierwéj tego nie uczynił?

— I czyż mógł to uczynić, nie mając nikogo co by mu dopomógł.

— To prawda... ale cóż robić na tak złe czasy, trzeba się do nich zastosować... A zresztą, jest on młodym, niechże więc wszystkiego zakosztuje.

— Są ludzie którzy w zbyt rannych latach, piją do sytu z czary goryczy... kto wié... czy on nie należy do ich liczby.

— No.. no... już bądź pan spokojnym... pomyślemy o nim, na pewno jednak nic nie mogę przyrzekać, ale masz moje słowo, że co będę mógł to zrobię.

Ton mowy jakiego użył Wiziński, był tak przekonywająco—pewnym, że Konrad, mało znający charakter ojca Laury, był przekonanym, że ten, rzeczywiście pragnie dopomódz protegowanemu przez niego, uważał się więc obowiązanym, podziękować Wizińskiemu za jego troskliwość.

— Nie masz mi za co dziękować mój łaskawco — rzekł Wiziński, ściskając rękę młodzieńca, to bowiem, co ci chcę uczynić, jest tylko zwyczajną, przyjacielską przysługą.... Ale.... ale panie Robiński — dodał — a nie powiedziałeś mi jeszcze nazwiska tego młodzieńca.

— Józef Dębik, syn po zmarłym wojskowym.

— Zapisz mi to na kawałku papieru ażebym nie zapomniał... włożę go w tabakierkę....

— To więc za kilka dni mogę mu powiedzić, ażeby zgłosił się do pana?...

— A dla czego nie... niech przyjdzie...

zaraz go zobaczę... i być może, że mu nawet co powiem o jego interesie....

— Pani pyta, czy pan przyjdzie na herbatę? — zapytał, wchodzący w tej chwili służący.

— Powiedz, że zaraz będę służył....

— Ja pożegnam pana — rzekł Konrad, biorąc za kapelusz...

— A to co znowu?... ani myślę słyszyć... musisz pójść ze mną....

— Ale kiedy nie mogę... mam ważny interes....

— To go później załatwisz, bo teraz cię nie puszczę.

Z niechęcią zgodził się Konrad na żądanie Wizińskiego — nie wiedzić dla czego, lecz od niejakiego czasu, już i obecność Laury, nie tak mu miłą jak niegdyś się wydawała—być może, że obojętność dziewczyny i jej szyderczy charakter, zniechęciły go, i przygasiły w jego duszy żar, jaki skutkiem pewnego rodzaju zaślepienia, do-

tąd płonął w jego sercu. I dla tego też, dziś, po raz piérwszy, niechętny i zimny wchodził do salonu w którym siedziała Laura. Co więcéj, prawdziwie się ucieszył, zastawszy tu panią Wróżyńską i Zofią, a tak, widział się uwolnionym od czczéj, głupiéj gadaniny Henryka — lub sarkatycznych uwag Laury i jéj matki.

Również, zapewne skutkiem gniéwu, jaki jeszcze dotąd czuł w swém sercu dla Laury, Konrad, znalazł Zofię daleko od niéj piękniéjszą. I rzeczywiście, każdyby to z nim przyznał, tym bardziéj, że prócz wdzięków powierzchownych, posiadała wyborne przymioty duszy i serca, na czém Laurze zupełnie zbywało.

Przy tém, rozmowa i postępowanie Zofii, tak różne były od słów i czynów Laury— tak sztucznie umiała dobiérać wyrazów, unikając choćby cienia obmowy i złości, że każdy z rozkoszą zgodziłby się i cały dzień słuchać ją mówiącą.

Że dwie tylko godziny znajdował się w jéj towarzystwie Konrad, a jednak, dosyć mu było tego czasu do poznania i ocenienia jéj. Właśnie w téj chwili gdy wchodził do salonu, Zofia śmiało stawała w obronie wyrobniczéj klassy ludzi, któréj pani Wizińska i Laura, a tym dopomagał Henryk, przypisywali wszelkie zdrożności i konieczność pogardzania niémi, twierdząc, że są to ludzie bez zasad honoru i ambicyi.

— *C'est vrai* — mówił potakując Henryk—bo i czyż podobna szukać szlachetności u tych, którzy żadnego prawie nie odbiérają wychowania, którzy tylko umieją oddawać się ręcznéj pracy, bo u nich myśli spią... a dusza... Bóg wié jaką jest....

— Przebacz pan — rzekła Zofia — lecz uważam za powinność ujęcia się za temi, których los, nie raz tak niesłusznie prześladuje... a którzy jednak często, przymiotami serca, o wiele przewyższają nie jednego, pogardzającego niémi....

— Ależ moja Zosiu — odezwała się Laura—jakich-że przymiotów możesz się spodziéwać od tych ludzi, bo co ja, to żadnych w nich nie widzę....

— Że prawda... to prawda—dodała pani Wizińska—na sto, nie wiém czy jednego poczciwego znaleść by można.

— Nie zdaje mi się żeby tak było—rzekła pani Wróżyńska — wprawdzie, nie przeczę, ażeby wśród klassy wyrobniczéj, nie znalazło się wiele nieprąwości, ale grunt serca to prawie u każdego poczciwy, złe tylko ziarno w nie wpadło i ztąd zwarzone powstały owoce....

— Może być, że na wsi są podobne indywidua — rzekł Henryk, cedząc przez zęby—chociaż i tam chłop zawsze chłopem....

— Aż mnie dreszcz przechodzi —rzekła Laura, że można żyć wśród podobnie grubych, nie okrzesanych ludzi... moja mamo—dodała zwracając się do matki—chyba oni nie mają duszy?...

— Czy mają lub nie... mniejsza o to— rzekł Henryk — lecz że stworzeni, do samej tylko pracy to więcej niż pewno, podobnie jak koń lub wół....

— Masz pan słuszność—odpowiedziała Zofia — że trudy i znój czekają biednego kmiotka—że wśród nich musi pędzić życie... że jego pokarmem czarny chleb... że on nie zna prawie co to szczęście, co to chwila swobodnego odetchnienia... nie idzie jednak, ażeby nim pogardzać... przeciwnie, my go cenić... my go szanować powinni.... —

W ten sposób mówiła Zofia, kiedy wszedł Konrad — słyszał on ostatnie jéj słowa— i jego prawe serce zadrżało z radości, słysząc ją mówiącą tak samo, jak i on w podobnym razie by powiedział. Zaraz więc przyłączył się do rozmowy, a podczas, kiedy Wiziński witał się z panią Wróżyńską, Konrad rzekł, zwracając się do Zofii:

— Może mojém przybyciem przeszkodzi-

łem pani, kiedy bowiem wchodziłem do salonu, słyszałem cię mówiącą.

— Mieliśmy tu małą sprzeczkę z tym uparciuszkiem — odpowiedziała Laura, biorąc rękę Zofii z najprzychylniejszym uśmiéchem.

— I o cóż?.. jeżeli wolno się zapytać.

— O to... panna Zofia — odpowiedział — Henryk — koniecznie utrzymuje, że chłop, mógłby być takim człowiekiem jak ja lub pan; że jak my, i on czuje i myśli.

— A dla czegóż nie? — rzekł Konrad — zupełnie zgadzam się z panią....

— Dajmy lepiéj pokój podobnéj rozmowie — odezwała się Laura — ukrywając poziéwanie, bo zabrniemy zbyt daleko... za zbyt to poważny przedmiot... wcale nie dla nas.... No Zosiu, powiédz mi co czytasz nowego?..

— Ja, powtórzyła Zofia, dopiero przychodząc do siebie z rozkosznego zajęcia w ja-

kie wprawiło ją pojawienie się Konrada— dawno już nic nie czytałam....

— Jak to?.. ty taka zwolenniczka literatury i nie czytasz? eh! chyba żartujesz?...

— Nie... jak cię kocham....

— Prawdziwie, można by się dziwić téj zmianie, bo czy wiész, jaką odpowiedzialność ściąga ona na ciebie?...

— No?...

— Oto, że jesteś zakochaną...

— Zakochaną—rzekła Zofia i mimowolnie zarumieniła się i spuściła oczy.

— Z przeproszeniem pań—odezwał się Henryk, lecz zdaje mi się, że dzisiaj kobiéty wcale kochać nie umieją.

— Czemu nie—odpowiedział Konrad— czyż dla tego, że znajdą się takie, które nie wierzą w to najświętsze uczucie, jakie może być udziałem serca człowieka... że frymarczą niém, ofiarując pierwszemu lepszemu, który im więcej obieca; trzeba całą

płeć niewieścią obwiniać o nieczułość? Bo i gdzieżby szukać wtedy uczucia, jeśli chcielibyśmy kobiety obedrzeć z tego, co jest ich najwznioślejszą, najpierwszą ozdobą?.. ona, córka... żona... matka, koniecznie musi kochać—bez tego jéj serce uschnie, lub ztwardnieje — i kobiéta umrze, lub stanie się emancypowaną....

— Powinnam panu podziękować za obronę płci do któréj należę — rzekła Zofia, zwracając na młodzieńca oczy, pełne niewypowiedzianego wyrazu — o panie! nie uwierzysz, jak jestem szczęśliwą, że znalazłam człowieka, który tak myśli jak ja, który nie płaszczy się przed kobiétą, aby późniéj okrył ją szyderstwy—lecz umie ją szanować....

— To tylko jest moją powinnością... powinnością każdego uczciwego człowieka— odpowiedział Kōnrad.

— Ale *à propos* emancypacyi — rzekła

Laura, zwracając się do Konrada—jakież jest pana o niéj zdanie?...

— Emancypacya pani — odpowiedział Konrad—to wymysł próżniaczych pań naszych, które nie mając czém zająć próżnujący swój umysł, błądzą, sądząc że idą drogą postępu!...

Długo jeszcze w podobny sposób ciągnęła się rozmowa, nie raz jeszcze Konrad miał sposobność podziwiać duszę Zofii i porównywać ją z Laurą, która mu się coraz, coraz niższą wydawała, aż w końcu sam zaczął się dziwić sobie, jak mógł kochać kobiétę tak złośliwą, tak dumną jaką była Laura.

A kiedy pani Wróżyńska, po parogodzinnéj wizycie, pożegnała Wizińskich i zabiérała się do odejścia, Konrad, sprowadzając ją ze schodów, prosił, ażeby mu dozwoliła towarzyszyć im do domu. —

Z uprzejmością przyjęto jego prośbę.

* *

— Nieznośnie się wynudziłam moja mamo—rzekła Laura po oddaleniu się gości.

— I ja też nie lepiéj bawiłam się od ciebie—powiedziała matka — z Wróżyńską tak nudna rozmowa... a zresztą, to kobiéta tak śmieszna ze swémi zasadami, że doprawdy, nie raz, tylko przez delikatność, nie powiedziałam jéj wręcz, że nic nie zna....

— Uważałaś mamo, jak Zofia czule spoglądała na Konrada, kto wié czy się ona w nim nie zakocha.

— Wtedy mogłabyś stracić jednego wielbiciela.

— Co tam taki wielbiciel... i ubogi... i z niewiedzić jakim charakterem... a zresztą. wszak to syn lokaja czy kamerdynera...

— Dla tego téż tak się ujmuje za klassą wyrobniczą....

— Poznał swój swego....

— A Henryk... coś z tobą dziś trzymał?...

— Eh! to głupiec... żeby nie to, że się ładnie ubiéra, i jako tako mówi po fran-

cuzku, nie chciałabym nawet spojrzeć na niego.

* *
*

A Wiziński, powracając do swego gabinetu, i przypominając sobie niedawną prośbę Konrada za synem biédnéj wdowy—mówił:

— Ach cóż za ludzie naprzykrzeni ci suplikanci... raz wraz mnie nachodzą... ciągłe prośby.., utyskiwania... nigdy się od nich opędzić nie mogę.... Albo ten młodzik Robiński, zamiast dziękować Bogu, że sam ma kawałek chléba, jeszcze chce mu się być innych protektorem.... I ja musiałem mu przyrzec... bo i cóż innego miałem uczynić... to najlepszy środek pozbycia się natręta... potém, znajdą się powody zwłoki....

Powiedziawszy to Wiziński, zasiadł do biurka i zaczął pisać.

O! ludzie... ludzie!.. czyż nigdy tajniki waszych serc nie odpowiedzą ustom?.. czyż nigdy fałsz i obłuda was nie odstąpią!?..

ruchu, nie chciałabym nawet spojrzeć na niego.

* * *

A Wiziński, powracając do swego gabinetu, i przypominając sobie niedawną prośbę Konrada za synem biednej wdowy,—mówił:

— Ach cóż za ludzie naprzykrzeni ci suplikanci... raz wraz mnie nachodzą... ciągle prośby... uszczkiwania... nigdy się od nich opędzić nie mogę... Albo ten młodzik Bolański, zamiast dziękować Bogu, że sam ma kawałek chleba,.. jeszcze chce mu się być innych protektorem... I ja musiałem mu przyrzec... bo i cóż innego miałem uczynić... to najlepszy środek pozbycia się natręta... potém, znajdą się powody zwłoki...

Powiedziawszy to Wiziński, zasiadł do biurka i zaczął pisać.

O! ludzie... ludzie!.. czyż nigdy tajniki waszych serc nie odpowiedzą ustom?.. czyż nigdy fałsz i obłuda was nie odstąpią?..

IV.

ZMOWA.

Godzina szósta uderzyła na ściennym zegarze, wiszącym w bufetowéj sali, znajdującéj się w kawiarni pod *przewróconą szklanką*.

Od pół godziny zaszło słońce—i przez okna zaglądał coraz mocniejszy zmrok, następujący po o wiele zmalałym dniu, w początkach miesiąca Września.

Pozapalane lampy, jasne rzucały światło, na nie zbyt jeszcze zapełnione stoliki

kawiarni—za bufetem, jak zwykle, siedziała Teofila—kawiarki oczekiwały na rozkazy co chwila przybywających gości.

W bilardowej sali, przy jednym ze stolików, paląc z długich cybuchów, nie zbyt wonny tytuń, siedzieli Teodor i Szkapa, zajęci układaniem planów dostania zkąd pieniędzy, na jakich im od niejakiego czasu zbywało.

— Do djabła!—zawołał Teodór wyciągając nogi—nigdy jeszcze nie byłem w takich tarapatach... żeby grosza nie mieć w kieszeni... niech djabli wezmą los, który tak się uwziął na mnie!

— Ja już trzy dni nie jadłem obiadu—odpowiedział Szkapa—żywię się tylko jak mogę i doprawdy, żeby nie pocieszycielka, ta kochana fajka, nie wiém co bym sobie zrobił.

— Napzykład, radbym wiedzić co byś też uczynił?—zapytał Teodor—przecież byś się nie powiesił.

— Fe!... taka śmierć... doprawdy wołał bym się utopić.

— Zapewne... jeszcze do tego w wazie pączu... lub choć w kwarcie wódki.

— Miejże litość... nie mów tego... bo aż mi ślinka idzie na samo wspomnienie.

— Niech jasny piorun trzaśnie tego przeklętego kupczyka! — zawołał Teodor uderzając pięścią w stół—tak mię ograł... szelma! żeby chociaż zostawił mi parę złotych na zaczęcie.

— Tak... to byś i to przegrał.

— A może też szczęście obróciło by się do mnie.

— Wiesz co Teodorze, że to wcale nie pięknie dla ciebie zostać tak ogranym... ty, co miałeś sławę pierwszego szermierza... dziś wyszedłeś na fryca.

— Cicho bądź!... milcz!.., bo wszystka krew wzburza się we mnie, gdy mówisz o tym niegodziwym.

— Zdaje mi się że jesteśmy tacy sami

jak i on—rzekł ze złośliwym uśmiechem Szkapa.

— Nie przyprowadzaj mnie do passyi!— zawołał szuler ściskając pięście—bo dalibóg! nie wiém co z tobą zrobię!

— Ho! ho... jaki z ciebie siłak, tylko szkoda, że mnie nie ustraszą twoje pogróżki... ale dajmy pokój kłótni, bo i rzeczywiście, spieramy się sami nie wiedząc o co, dalcko lepiéj zrobiémy, gdy sobie podamy ręce, i wspólnie pomyślemy co daléj nam czynić wypadnie, ażeby dostać pieniędzy.

— Już od dwóch dni o tém myślę i nic wymyślić nie mogę... głowa mi prawie pęka... a tu jak nic.,. tak nic.

— Eh!... nie trać nadziei... przecież nie pomrzemy z głodu, bo w ostateczności, żeby nawet ukraść, to jestem gotów do tego.

— Tak... a gdyby nas złapano.

— To wsadzą do kozy i oćwiczą.

— Dziwię się, że masz chęć do żartów, kiedy ja o mało się nie wściekam.

— I dla tego też że się gniewasz, nic wymyślić nie możesz... ja zaś śmieję się... jestem wesoły... i ręczę ci, że prędzej wynajdę środek wywinięcia się z przykrego położenia, w jakiém los nas postawił.

— Tylko pamiętaj to uczyń, a zobaczysz jak cię uściskam.

— Dziękuję za twoje uściski... schowaj się z niémi dla kawiarki.

— Niech i tak będzie... ależ ten środek, czy go czasem nie wynalazłeś?

— Ho! jakiś prędki!... żeby jednak okazać ci moją zdolność, dowiédz się więc że go już mam.

— Nie podobna!

— Bardzo podobna, bo tak jest.

— I cóż to takiego?... mów.

— Mała rzecz... proste tylko odebranie tego, co nam ukradziono.

— Ależ nam nikt i nic nie ukradł... a przynajmniej mnie.

— Nie domyślny... a czyż nie pożyczałeś nigdy pieniędzy dając na nie zastaw?

— Albo raz.

— I czy przynajmniej nie trzy razy tyle zapłaciłeś ile wziąłeś.

— O pewno... policzywszy procenta... to uczyni porządną summę... lecz do czegóż zmierzają twoje pytania?

— Zaraz się dowiesz... a zatém sam przyznajesz, że byłeś okradanym?

— Jak to?

— Prosta rzecz... lichwiarz cię obdzierał.

— Prawda że mnie porządnie skubali, a szczególniej ta przeklęta baba Bibińska.

— A więc brawo... zacznijmy od niej, ona pierwsza musi wynagrodzić nam za wszystkie swe wyderki.

— Chciałbyś więc ażeby ją okraść?

— Nie okraść... tylko pożyczyć bez procentu i fantu — odpowiedział śmiejąc się Szkapa.

— Nie tak to łatwa rzecz... Bibińska ostróżna... nie da się oszukać.

— A od czego głowa na karku... spuść się tylko na mnie, ja już wszystko dobrze poprowadzę.

— Rób co chcesz... jestem gotów cię słuchać... zkądkolwiek dostaniesz pieniędzy mało mnie to obchodzi, byle tylko prędzej je mieć.

— Szkoda tylko, że Bibińska zna ciebie.

— Jak złego szeląga.

— Chwała Bogu, iż przynajmniej ja jestem dla niej obcym... zawsze jednak będę potrzebował drugiego, który by również był jej nieznanym.

— A Leon?

— Prawda, on byłby mi bardzo użytecznym, ale cóż robić, kiedy nie widziałem

go, od tego nieszczęsnego wieczora, kiedy to nas tu zdybała policya.

— Wiém przecie gdzie mieszka, to pójdę do niego.

— A jeżeli wtenczas pochwycono go... co bardzo być może.

— I tak też było... ale już jest wolnym... brat wstawił się za nim.

— Brat go uwolnił?... ha! to źle... kto wié bowiem, czy nie wymógł na nim przyrzeczenia poprawy... a doprawdy szkoda go... taki dobry chłopiec.

— Dla czegóż masz zaraz powątpiéwać... przecież trzy dni nie mogły go jeszcze uczynić Katonem cnoty.

— Prawda i to... a zresztą propozycya jaką ja mu chcę uczynić, jest tak niewinną—i uśmiechnął się złośliwie — że dalibóg! mógłby się na nią zgodzić z zamkniętemi oczyma.

— Nie zechcesz więc mi odkryć twoich zamiarów?

— I cóż ci potém... kiedy nie możesz być mi użytecznym... chyba zdasz się na pilnowacza, jak my będziemy działać.

— No... kiedy tak, to pośpieszmy się... bo widzisz że już po siódméj... niedługo zrobi się zupełnie ciemno.

— To właśnie dobrze... byle tylko zastać Leona... a jeszcze i ogolić się muszę.

— Zkąd ci taka pretensya? — zapytał Teodor, zapinając surdut.

— Głupiś... jakżebym wyglądał, w kobiécych sukniach i zarośnięty jak zbójca.

— Nie chcący wydałeś się! — zawołał Teodor—teraz więc możesz mi już powiedzić, na co ci ta maskarada?

— Żeby łatwiéj oszukać Bibińską... bo czyż myślisz, że ona wpuściłaby do siebie dwóch mężczyzn o tak późnéj godzinie.

— Niby nie pozna żeś mężczyzna, chociaż brodę ogolisz.

— Mniejsza o to... abym tylko wszedł, to najważniejsza, potém już sobie poradzę.

— A zkąd weźmiesz sukien?

— Zkąd wezmę?... albož mało znam kobiet?... na każdej ulicy... na każdym niemal zakątku, mam pełno przyjaciołek.

— Które jak sowy noc szczególniéj lubią.

— I cóż w tém złego?... byle tylko były nam użyteczne, i zechciały dostarczyć dwóch garniturów sukien, dla *mnie i dla* Leona.

— No... dla Leona, to jeszcze prędzéj znajdziesz... ale dla siebie... do twéj figury cokolwiek trudno będzie dopasować... chyba że każesz sobie nadsztukować spódnicy.

— Zamknij raz gębę... gadasz jak na mękach... niby to każdy tak jak ty będzie rozbiérał każdą część mojego stroju... Daleko lepiéj zrobisz jeżeli dasz mi trzy grosze, bo nie będę miał czém zapłacić cérulikowi.

— Dobrześ się wybrał... czyż nie wiesz że i ja goły.

— Niech cię diabli wezmą wraz z twoją golizną!... i cóż teraz zrobię?... czyż dla nędznych trzech groszy mam odstąpić tak pięknie ułożonego dzieła?... ale nie... muszę wykonać com postanowił i chociaż od Teofili pożyczę na ogolenie się.

IV.

KRAMSTWO.

—

UMYTY i z gładką brodą, Szkapa w towarzystwie Teodora, udał się do mieszkania Konrada gdzie również Leon mieszkał.

Nie omylił się Szkapa, sądząc, że Leon postanowił się poprawić; rzeczywiście bowiem takiem było postanowienie młodzieńca. Niedawny wypadek jakiemu uległ — noc spędzona wśród ludzi najgorszego prowadzenia—a w końcu, rozsądne przestrogi Konrada, silnie nim wstrząsnęły i natchnęły

go żądzą poprawienia się; że jednak nie ufał sobie, czy w mieście umiał by się utrzymać w szlachetném swém postanowieniu, umyślił przeto wyjechać na wieś, i zamieszkać przy ojcu, którego rady i baczność mogły były dokończyć jego poprawy. W téj więc myśli, napisał list do ojca, z którym zaraz nazajutrz miał udać się na pocztę.

Działo się to współcześnie z wizytą Konrada u Wizińskich, i poprzednią schadzką dwóch szulerów, w kawiarni pod *przewróconą szklanką*.

Sam tylko Leon znajdował się w pokoju, na kominku stała dopiero co zapałona świéca, obok leżał lak i list w téj chwili napisany. Leon podparł się, zamyślił, lecz wnet znudzony powstał, a poziewając, rzekł:

— Co za nudy... sam nie wiém co robić... Konrad mi mówił ażebym czytał... dał mi nawet klucz od szafy w któréj znajdują się książki... lecz cóż będę czy-

tał?... to tak nudno przewracać stronnice... ach! z jakąż ochotą pobiegł bym teraz do bilardu... wziął do ręki karty... ale nie... przecież postanowiłem ustatkować się... nie grać... nie pójść do kawiarni... nie wiém dla czego... może to źle... ale mi coś żal tego wesołego życia jakie dawniej wiodłem... ach, żebym tu miał chociaż tę ładną Józię... ona by mnie rozrywała... gdy tymczasem nic, i nikogo.

Leon pochylił głowę, westchnął, i znowu się zamyślił.

W téj chwili lekko zapukano do drzwi.

— Kto tam?—zapytał Leon.

— To ja—odpowiedział Szkapa.

— Ty tutaj... i czegóż chcesz?—zapytał otwierając brat Konrada — może przychodzisz...

Leon nie dokończył, zdziwiony cofnął się na krok, ujrzawszy Szkapę jak najdziwaczniéj ubranego.

— A to co ma znaczyć?—zapytał śmiejąc się Leon, i w koło zaczął oglądać Szkapę, który w kobiécych sukniach i czepku na głowie, miał jak najkomiczniejszą minę.

— Jedziemy na Redutę—rzekł poważnie Szkapa—przyśliśmy więc po ciebie, spodziéwamy się bowiem, że zechcesz nam towarzyszyć... no pójdź... pójdź prędzéj Teodorze—dodał otwiérając drzwi—jest tylko sam; widzisz—mówił daléj Szkapa, zwracając się do Leona—jakiéj użyliśmy ostrożności, ażeby czasem twój brat nas nie zdybał. Dla tego też ja poszedłem naprzód, spodziéwając się, że w każdym razie z płcią piękną łaskawiéj się obchodzą—dodał, krygując się i sznurując usta.

— Jak się masz Leonie—rzekł Teodor, wchodząc w téj chwili do pokoju, z dosyć dużém zawinięciem pod pachą.

— Zdrów—odpowiedział Leon i podał rękę przybyłemu.

— Nie witajcie się... bo nié ma na to

czasu — rzekł Szkapa — no dalej Leonie! przynieśliśmy ci suknie... przebierz się i chodź z nami.

— Nie pójdę—odpowiedział stale Leon.

— Nie pójdziesz!... aha... to pewno braciszek głupstw ci nagadał... i ty go słuchasz... fe!... wstydź się... alboż jesteś dzieckiem.. abyś potrzebował rad jego?

— Ech!... Leon nie rad lecz rózgi się boi!—zawołał Teodor, rozwiązując zawiniątko.

Leon zaczerwienił się od gniewu i wstydu.

— Słuchaj no Teodorze—rzekł, przystępując do szulera—ty sam jesteś tchurzem... ty sam się boisz.

— No... tylko czasem nie myślcie się kłócić!—zawołał Szkapa—Teodor głupstwo powiedział, a Leon nie potrzebnie się obraził... no Leonie, wszak pójdziesz z nami?—dodał zwracając się do młodzieńca—idzie tu tylko o małą bagatelę, o jedną przy-

sługę jaką mnie wyświadczysz... potém jeżeli będziesz chciał, powrócisz do siebie.

— Niechże wiém czego chcesz?... po co to przebranie?—zapytał Leon.

— Właśnie przebranie jest tu koniecznėm bo i uważ sam, musiemy pójść do jednéj baby, lichwiarki, u któréj, przed dwoma miesiącami zostawiłem zégarek, łańcuch i parę pierścionków. Dała mi na to 500 złotych... a kiedy ja po wyjściu terminu przychodzę i chcę wykupić, ta hultajka, odebrawszy odemnie pieniądze, nie chce wydać mi rzeczy, i wypiéra się do upadłego, że nic odemnie nie brała, i że tylko na rewers pożyczyła mi tak wielką summę.

— Było ci ją zapozwać—rzekł Leon.

— A pewno, powinieneś ją był zapozwać—powtórzył Teodor odwracając się, ażeby ukryć śmiech, jaki zaledwie mógł wstrzymać, usłyszawszy to, tak gładkie kłamstwo Szkapy.

— Ja też tak uczyniłem—odpowiedział zagadniony—ale czy uwierzysz mój Leonie, ta bezbożnica przysięga, że nie widziała żadnych kosztowności.

— Cóż więc myślisz uczynić?—zapytał Leon.

— Sam sobie zrobić sprawiedliwość i odebrać od niej moje rzeczy, żeby jednak mnie nie poznała, wziąłem te suknie i dla ciebie takież same przyniosłem.

— Lecz zdaje mi się, że ja, wcale nie jestem ci potrzebnym.

— Co też mówisz... a któż by mi dopomógł zatkać gębę babie?... bo lubo wiem gdzie schowała moje rzeczy, nie uda mi się jednak tak ich odebrać, ażeby nie trzeba było zmusić Bibińską do milczenia.

— Ależ to krok trochę niebezpieczny—rzekł Leon—bo zresztą, kto wie, może ona ma i słuszność.

— Jakto... nie wierzysz mi! — zawołał Szkapa—a jednak tylko czystą prawdę po-

wiedziałem... niech ci powie Teodor, on zna cały ten interes.

— I bodajem trupem padł, jeżeli Szkapa skłamał choć jeden wyraz! — odezwał się Teodor.

— Czy słyszysz?... a cóż?... czy jeszcze mi nie wierzysz?... czy mam ci się przysięgać?

— Wierzę ci... wierzę — odpowiedział Leon—czemu jednak do tego nie użyjesz Teodora, a nie mnie?

— A któżby pilnował w sieni, ażeby nas kto nie zeszedł?... Teodor ma wyżli nos do tego.

— No...to i pójdę z wami—rzekł nakoniec Leon z widoczną niechęcią, tylko przez brak mocy ducha i stałego postanowienia, ulegając namowom Szkapy i jego towarzysza.

— Co robisz!—zawołał Szkapa, widząc jak Leon zdejmuje tużurek, weź na wszy-

stko te małpie stroje... nie bój się... twoja suknia i tak się dopnie.

Leon usłuchał rad Szkapy, i wnet zupełnie już przebrany wyszedł z niemi, kierując kroki ku Staremu miastu, gdzie mieszkała Bibińska, u której już raz byliśmy, towarzysząc Ernestowi i baronowi Karwicz.

— Kto tam przychodzi! tak późno?—zawołała Bibińska, kiedy Szkapa zastukał do drzwi jéj mieszkania.

— To ja—odpowiedział szuler, głosem ile mógł najcieńszym.

— Co za ja?

— Swój.

Lichwiarka zakręciła kluczem, uchyliła cokolwiek drzwi, i zapytała ujrzawszy dwie kobiety:

— Czego panie chcą?

— Chciałybyśmy zastawić—odpowiedział Szkapa.

— Lecz czemu tak późno?

— Ach pani!... na miłość Boską nie rób

ceremonii... nam tak pilno potrzeba pieniędzy.

— A cóż macie na zastaw?

— Kolczyki i pierścionek... tylko prędzéj pani—dodał Szkapa, udając że łzy obciéra—dziécię mi chorę... muszę biedz do apteki po lekarstwo... umrze jeżeli się spóźnię.

— No to chodź—rzekła Bibińska otwiérając drzwi tyle tylko, ile potrzeba było dla przeciśnięcia się jednéj osoby — lecz Szkapa silnie popchnął je, a robiąc miejsce dla postępującego za nim Leona, jednym susem rzucił się na Bibińską i nagotowaną chustką zatkał jéj usta. Ale Bibińska ręce jeszcze miała wolne, niemi więc zaczęła się obraniać Szkapie, i może być, że z jéj strony byłoby zwycięztwo, gdyby nie Szkapa, który czując, że niedługo zdoła opiérać się Bibińskiéj, zawołał na Leona:

— Chodź tu... chodź prędzéj... zwiąż ręce téj jaszczurce.

— A czém?

— W prawéj kieszeni twéj sukni musi być chustka.

Leon sięgnął do kieszeni, i wyjął z niéj kawałek brudnego gałgana, który Szkapa, *tak* niewłaściwie nazwał chustką.

— Acha!... przestałaś brykać!—zawołał śmiejąc się szuler, kiedy Leon, po dosyć długim trudzie, zdołał nakoniec ująć ręce lichwiarki, i związać je. — Jeszcze trzeba cię wziąść na łańcuszek — mówił daléj, robiąc pętlę z postronka jaki wyjął z zanadrza, i zakładając takową na nogi lichwiarki.—Teraz, przywiążę cię naprzykład do téj szafy, i dopiéro pozwolę patrzyć się, i jeżeli będziesz chciała, tańczyć i śpiewać.

— Nie mogąc ani słowa przemówić, bo chustka tamowała jéj oddech—nie mogąc poruszać rękami—bo silne trzymały ją wię-

zy—nie mogąc ani kroku postąpić, ażeby nie znalazła oporu w ściskającym jéj nogi postronku, Bibińska, z niemą rozpaczą—rozpaczą człowieka, któremu wydzierają to, co najbardziéj kochał w swojém życiu, zapatrywała się jak Szkapa, gwiżdząc, plądrował po komodach—zabierał kosztowności—pieniędzmi ładował kieszenie.

— No, a czemu ty — rzekł w końcu, zwracając się do Leona — stoisz tylko jak gapa i nic nie robisz?... daléj... weź się do dzieła!... czyż zapomniałeś co ci mówiłem o téj niegodziwej babie.

— Jeżeli ukrzywdziła, to ukrzywdziła ciebie a nie mnie—rzekł Leon, coraz barדziéj nie kontent, że się dał Szkapie namówić—nie słusznie więc ażebym jéj co odbiérał.

— No, to idź do tamtego... niech się nie nudzi stojąc na dole. Powiédz mu, że zaraz przyjdę, i że razem pójdziemy do

niego, ażeby dzisiejszą noc wesoło przepędzić.

Leon wyszedł.

Wkrótce też Szkapa, zadowoliwszy już chciwość swoją, zabierał się do odejścia.

— No i cóż stary kruku? — rzekł zbliżając się do lichwiarki — a przysunąwszy świécę do jéj twarzy, na któréj malowały się okropne męczarnie i straszna rozpacz — dodał: troszkę cię podskubałem... bo téż zanadto porosłaś w piérze... a masz śliczne, złote piórka.

I śmiejąc się szyderczo, postawił świécę na stole, umieszczonym o kilka kroków od związanej Bibińskiéj, a nisko się kłaniając, mówił daléj:

— Bądź zdrowa moja sąsiadeczko... dziękuję ci że jesteś tak dobrą... i dałaś mi na lékarstwo dla mojego dziecka... zobaczysz jak wyzdrowieje i urośnie, codzien-

nie każę mu się modlić o zdrowie dla ciebie.

I wyszedł, zamknąwszy drzwi na podwójny spust.

— Czy słyszysz!—zawołał już z sieni—teraz otwórz, jeżeli pierwéj uda ci się rozwiązać twe kokardki... słuchaj! oto wyjąłem klucz — dodał uderzając w drzwi — wrzucę go w pierwszy lepszy kanał.

Po tych słowach, słychać było szelest kroków—Szkapa zszedł ze schodów.

Bibińska uniesiona gniewem, rozpaczą i boleścią, napróżno starała się potargać krępujące ją więzy;—nakoniec szczęśliwa myśl przyszła jéj do głowy, rzuciła okiem na świecę stojącą na stole, i wnet postanawia u jéj płomienia przepalić chustkę, nie dozwalającą jéj swobodnego rąk użycia. Lecz czy dostanie do lichtarza, kiedy sznur przywiązany do jéj nóg, nie mógł się tak daleko wyciągnąć? Aż nakoniec, po pra-

wie niepodobnych do wiary wysileniach, o tyle zbliżyła się do świecy, iż czuła gorąco płomienia, i płótno zwolna kurzyć się zaczęło.—Nie zważając na dym, jaki dusił ją prawie, nie zważając na żar, jaki piekł jéj ręce, Bibińska, dopóty nie odsuwała się od stołu, dopóki jéj ręce nie zostały wolnemi. Dokazawszy tego, natychmiast wyrwała z ust chustkę, i nożem przecięła postronek krępujący jéj nogi—potém, sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niéj klucz umyślnie dorobiony do tychże samych drzwi, ażeby w razie zagubienia jednego, miała czém je otworzyć, i włożyła go w zamek. Znalazłszy się w sieni, Bibińska, gotowa już była krzykiem wezwać pomocy sąsiadów, przypomniawszy sobie jednak, jak ta byłaby bezskuteczną, zamknęła drzwi, i sama wybiegła na ulicę, mając nadzieję, że może jéj się jeszcze uda odzyskać stracone rzeczy.

Instynktowo zwróciła swe kroki ku Święto-Jańskiéj ulicy — właśnie uderzyła dziewiąta—na dworze było bardzo ciemno, tylko błyszczały latarnie, oświecając spieszuie idących—gęsty bowiem padał deszcz.

Na placu około Zygmunta, Bibińska zdaleka ujrzała trzy postacie, z których dwie po bielejących się sukniach, poznała, że były kobiéty. Zbliżywszy się ku nim o tyle, że mogła im się lepiéj przypatrzyć, usłyszała gniewliwy głos Teodora:

— Bodajeś zjadł milion djabłów!... potrzeba ci było pić wódkę?... kiedy wiész że każda chwila stracona może nam wyjść na złe.

— Jakiś ty mądry — odpowiedział Szkapa—pracować dla ciebie i jeszcze nie pozwolić sobie biednego kieliszka wódki.

— Pij ich choć by sto... ale nie w razie, gdy masz przy sobie tyle kosztowności, i gdy my, jak głupcy, czekamy na ciebie.

— No... no... nie gniewaj się mój Teodorku... bo i zresztą, nie masz o co... przecież się nic złego nie stało.

— Tak... jeszcze czego... chciałbyś więc ażeby nas schwytano.

— Prawda — rzekł aż dotąd milczący Leon—prawda, że mogliby nas przytrzymać i jak najsłuszniej obwinić o kradzież.

— Tak... a mój dług — rzekł Szkapa, jeszcze udając przed Leonem, że odebrał tylko to, co mu się należało.

— To prawda—odpowiedział brat Konrada—czyż jednak sąd chciałby słuchać podobnego tłomaczenia.

Już w chwili kiedy Bibińska usłyszała głos Teodora, poznała, że to on był, bardzo często bowiem miał z nią interesa— a jeszcze więcéj w tém się utwierdziła, kiedy Szkapa nazwał go po imieniu.

Nie myślała więc wskazywać ich jako sprawców gwałtu; lecz zachowując się cicho, ciągle postępowała ich śladem, ma-

jąc nadzieję, że uda jéj się wszystkich razem pochwycić w ich kryjówce, i odebrać swoje rzeczy.

— No... a zatém mogę już was pożegnać—rzekł Leon, zwracając się do dwóch swoich towarzyszów.

— Dajże pokój!—zawołał Szkapa—jeszcze czego... czyżbyś chciał powracać w tych sukniach... a przecież trzeba *ci się* przebrać... pójdź zatém z nami do Teodora... tam rozbierzesz się, i choć z parę godzin razem się pobawiemy.

— Lecz kiedy do Teodora bardzo daleko—rzekł jeszcze wachając się Leon.

— Co tam daleko — odpowiedział Teodor — alboż to Czerniakowska ulica wygnanie?

Takim sposobem Bibińska wiedziała co jéj potrzeba było — bo dom w którym Teodor mieszka, zna dobrze, nie raz przychodząc do niego, kiedy szuler zalegał w opłacie procentów,

Pozostawało jéj zatém, tylko udać się do bióra Policyi i zażądać pomocy do schwytania łotrów. Co téż Bibińska postanowiła uczynić.

V.

OPIEKUNKA.

TEODOR, Szkapa i Leon, szli dalej Krakowskiém przedmieściem.—Lękając się iść chodnikiem, przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie nikt prawie nie chodził. Już jakiś czas szli w ten sposób, kiedy nagle Teodor, wskazując dwóm swoim towarzyszom idącą przed niemi kobietę, w jednej tylko sukni i chustce, rzekł:

— Patrzcie... jakaś turkawka....

— Może biédna szuka gniazdeczka— odpowiedział śmiejąc się Szkapa.

— Pójdę zapytam się jéj....

— A idź....

Teodor pobiegł naprzód:

— Gdzie to... gdzie to—zawołał.

Zdziwiona kobiéta podniosła głowę.

Teodor ujrzał prześliczne rysy młodéj twarzy, ale ta twarz mokra od łez—wywiędła od cierpień.

Była to Marya.

Niedawno jeszcze umieszczona w szpitalu, dręczona gorączką i okropnémi cierpieniami, Marya, nagle odzyskała przytomność i poznanie swéj niedoli. Widząc się w szpitalu, porzuconą na łóżku pod nieodstępną strażą zakonnicy, Marya, zapragnęła opuścić te miejsca, wyrwać się na świat—uciedz do Gustawa i skonać u nóg jego. Nie raz już przemyślała nad sposobami wydostania się, lecz tak ją pilnowano, że ucieczka była niepodobną:

Aby jednak w każdym razie być do niéj gotową ubrawszy się w suknią, w niéj położyła się na łóżku.

Kilka dni zeszło w ten sposób, i Marya straciła już prawie nadzieję oswobodzenia się, kiedy niespodziewany wypadek przyszedł jéj w pomoc.

Jeden z chorych, nagle dostał pomięszania zmysłów, zerwał się z łóżka, i z krzesłem w ręku wyleciał na korytarz, z którego wychodziło się do pokoju Maryi.

Krzyk, wrzawa, trzask zamykanych drzwi, wywabił pilnującą zakonnicę, iż uchyliła drzwi, aby dowiedzić się o przyczynie zamięszania. W tejże chwili, w całym pędzie nadbiegł szaleniec, wpadł do pokoju Maryi, pochwycił rękę kryjącéj się Siostry Miłosierdzia i wyciągnął ją za sobą.—Z początku Marya przelękła się, wnet jednak przyszła do siebie, i ożywiła się myślą, że może teraz uda się jéj uciedz.

Natychmiast więc wstała z łóżka, za-

rzuciła chustkę, włożyła trzewiki i wybiegła na korytarz, na końcu których, waryat, jeszcze szamotał się z opierającą się mu kobiétę.—Kilku posługaczy, z drugiéj strony korytarza biegło pochwycić szaleńca. Marya na sam dół zeszła bez przeszkody. W bramie dopiéro oddźwierny zatrzymał ją, ale odpowiedziała mu, że idzie od choréj siostry, otworzył więc furtkę i drżącą od zbytku wzruszenia, wypuścił na ulicę.

Ujrzawszy się wolną Marya, natychmiast postanowiła biedz do Gustawa, ażyby wyrzucić mu jego nikczemność a potém umrzyć. Na tę myśl, łzy zalały jéj oczy— w tym stanie spotkał ją Teodor.

*
* *

— Niech mnie djabli wezmą!—zawołał wracając do Szkapy i Leona—jak piękna dziewczyna. Szkoda tylko, że ciągle płacze i płacze... nie mogłem się od niéj słowa dopytać...

— Eh! bo nie umiesz wziąść się do tego — odpowiedział Szkapa — pozwól no, niech ja pójdę... a zobaczysz jak się sprawię.... Wy tymczasem idźcie sobie naprzód do domu... ja wnet do was przybędę...

— Mądry z ciebie — rzekł Leon, nakoniec zapomniawszy niedawnych swych postanowień—chcesz nas wywieść w pole.

— Zobaczysz że nie... tylko nie przeszkadzajcie mi... idźcie sobie....

— No pojdziemy,.. lecz pamiętaj gdybyś nas zwiódł....

Teodor i Leon skinieniem głowy pożegnawszy Szkapę, wzięli się pod ręce i szybko pobiegli naprzód.

Szkapa pozostawszy samym, jeszcze kilka kroków szedł za Maryą, aż nakoniec zbliżył się do niej, a udając głos i chód starej kobiety—rzekł:

— Co tak sama idziesz moje kochanie?.. to troszkę niebezpiecznie dla ciebie... czyż

nie wiesz jakiemi są mężczyźni?.. że u nich znieważyć kobietę, to fraszka....

Marya twarz zalaną łzami zwróciła do mówiącego Szkapy,

— Płaczesz? — rzekł znów Szkapa udając wzruszonego — i cóż ci się stało?.. czyż ci kto jaką krzywdę wyrządził?.. czy cię matka obiła?..

— Ja nie mam matki! — odpowiedziała łkając Marya.

— Może więc zwiódł cię kochanek? Marya zadrżała i stanęła,

— Kochanek... kto pani o tem powiedział — zapytała — ach! czyż już cały świat wie o mojej hańbie!?., pani! pani! powiedz... zkąd wiesz że zostałam zdradzoną!?..

— Ale ja nic nie wiem moja duszko — odpowiedział Szkapa, biorąc rękę Maryi — tylko widząc jak płaczesz, domyślałam się co by mogło być powodem twej boleści, i tak niechcący odgadłam.

— O tak pani... tak — rzekła Marya,

zalewając się nowémi łzami — zostałam zdradzoną... haniebnie... nikczemnie zdradzoną... on mnie opuścił... ten któremu uwierzyłam... którego tak kochałam..., że dla niego zapomniałam cnoty... wstydu... Boga... że dla niego zniosłam wiele... bardzo wiele cierpienia... a on... on wzgardził mną... odepchnął... oddał do szpitala....

— I jakim sposobem z niego się wydostałaś? zapytał Szkapa udając wzruszonego.

— Uciekłam.

— I cóż teraz robić myślisz?..

— Pójść do niego... raz ostatni wezwać jego litości... jego miłosierdzia... już nie dla mnie... ale dla tego niewinnego jestestwa jakie pod mojém spoczywa sercem....

— Do djabła! — pomyślał Szkapa—tak dalece rzeczy zaszły... ho! ho!.. to jak widzę, jakaś nie zła awantura: uwiedzenie... szpital... ucieczka a nakoniec ja, w méj pożyczanéj postaci... z kobiécym głosem... czépkiem i suknią... Doprawdy, to śmiésznie...

zostać pocieszycielem... obrońcą... dalibóg! nie zła dla mnie rola....

— Oto moje ostatnie postanowienie— mówiła daléj Marya—jeżeli mię usłucha, upadnę mu do nóg z dziękczynieniem, i umrę błogosławiąc go... a jeżeli nie... o! i wtedy nie umiałabym go przeklinać... nad grobem jego wykopanym ręką... choćby nawet na krawędzi piekła, jeszcze na ustach znalazłabym dla niego błogosławieństwo...jeszcze jego rękę okryłabym pocałowaniami i potém zginęła na wieki!...

— Na co te smutne myśli—rzekł Szkapa, wybornie udając łkania—ty jeszcze żyć możesz... jeszcze możesz być szczęśliwą... wesołą....

— O nie... nie..., ja umrę..., ja muszę umrzyć... bo i po cóż żyłaby kobiéta, która kochała, która jeszcze kocha... lecz która wié, że jest tylko próżnym ciężarem dla swego kochanka....

— Ale teraz... cóż robić myślisz? — za-

pytał Szkapa — czyż-byś chciała udać się do swego uwodziciela?...

— To było myślą moją...

— Daj dziś temu pokój moje dziecię... już jest tak późno... jutro podobniéj to będzie uczynić.

— Mówisz pani że jutro... dobrze więc... lecz dziś... dziś gdzież się obrócę?..

— Chodź ze mną — rzekł Szkapa, uradowany, że nakoniec udało mu się naprowadzić o tém rozmowę — wprawdzie mieszkam dosyć ztąd daleko... i niekoniecznie mam obszerne pomieszkanie... przyjmiesz jednak jakie ci dać mogę... zawsze daleko lepiéj nocować pod jakim takim dachem, niż na dworze.

— O! dziękuję ci dobra pani! — rzekła Marya, pochylając głowę, i do ust przykładając rękę Szkapy.

— Ach! ona mnie pocałowała — rzekł sam do siebie Szkapa — doprawdy, zdaje mi się, że mi przybyło i powagi i z jakie

lat dwadzieścia... Niech mnie piorun zabije! jeżeli nie mam ochoty, nad głową téj dziewczyny rozciągnąć ręce z ojcowskiém błogosławieństwem.

— No... a więc pójdźmy—rzekł głośno—daj mi rękę... będzie ci lżéj... bo trzeba ci wiedzić, że wypadnie nam dobrze zbiérać nogi, ażeby zajść za półgodziny.

Marya oparła się na ramieniu Szkapy, i poszła ulicą tak prędko, jak na to pozwalały jéj siły, w duchu dziękując Bogu, że pozwolił jéj *znaleść opiekunkę*.

VI.

DOM PRZY ULICY CZERNIAKOWSKIEJ.

—

Już przy samych rogatkach, odosobniony od innych, stał mały, brudny, drewniany domek. Nie wielkie z zielonego szkła szyby, przepalone i pełne nieczystości, zaledwie przepuszczały światło dzienne—niskie drzwi, opatrzone wysokim progiem, prowadziły do sieni, bardzo podobnej do piwnicy, zkąd wchodziło się do dolnego pomieszkania i po drabinie na górę — w głębi

widać było maleńkie podwórko cuchnące i pełne błota.

W dwóch izbach, małych, brudnych jak cały dom, mających z ruchomości tylko parę połamanych stołków, obdrapany stół, siennik porzucony na podłodze, kupę całych i potłuczonych butelek, jeden cybuch—w końcie trochę starych rupieci, a wszędzie mnóstwo kurzu, nieczystości, śmieci i błota—mieścił się Teodor znany szuler i bursz w całém znaczeniu. Nie dawno co przyszedł on do swego mieszkania, zapalił świécę obsadzoną w butelkę—nałożył fajkę, a podając ją Leonowi—rzekł:

— Masz... pal... lecz pamiętaj o mnie nie zapomnić.

— Ciekawym czy téż Szkapa dotrzyma nam słowa—rzekł Leon, wypuszczając z ust gęste kłęby dymu.

— Doprawdy teraz żałuję że go tak łatwo puściłem... jeszcze gdy ma przy so-

bie tyle pieniędzy... bo spodziewam się... że sobie nie żałował u tej lichwiarki.

— A gdyby też Szkapa na prawdę z nas zażartował—zapytał Leon.

— Nie uczyni tego... bo wie, żebym mu nigdy nie darował.

— I cóż byś mu zrobił?

— Już bym wiedział co.

— Otóż idzie! — zawołał przerywając Leon—czy słyszysz jego głos?

— Prawda... lecz coś okropnie zmieniony... mówi jakby nie jadł od dwóch dni... Lecz czy słyszysz?... on z kimciś rozmawia... niech mnie diabli wezmą! jeżeli czasem nie przyprowadza tej dziewczyny.

— Tędy... tędy moja mała—mówił za drzwiami Szkapa, ciągle udając drżący głos staruszki—tu jest sień... tylko ostrożnie, bo próg wysoki, żebyś nie upadła.

A słysząc głos mówiących Teodora i Leona—rzekł sam do siebie.

— Co za osły!... może jeszcze umyślnie

wlizą w oczy téj dziewczynie, ażeby wszystko popsuli... nie mogą że raz pofolgować swoim językom?... nie mogą się choć na chwilę ukryć w jakim kącie?

Mówiąc to Szkapa, otworzył drzwi i wprowadził Maryą do izby.

Ponieważ światło cienkiéj, groszowéj świéczki bardzo mdłe i słabe było, nie mogła więc Marya, z piérwszego rzutu oka, spostrzedz Teodora i Leona, już we zwyczajne suknie ubranego. Postąpiwszy jednak na środek stancyi, ujrzała ich.

— Gdzież mnie zaprowadziłaś pani?— zapytała cofając się ku drzwiom.

— Bądź spokojną... to moi synowie— odpowiedział Szkapa—bardzo poczciwi chłopcy... a spokojni... jak kobiałka za wozem—dodał po cichu i poszedł do drugiéj izby.

Marya nieruchomie przy drzwiach pozostała.

— Prosiémy bliżéj—rzekł Leon, postępując ku Maryi.

— Pójdź... pokaż się nam—dodał Teodor, biorąc rękę dziéwczyny, i mimo jéj oporu, zbliżając ją do świécy — ładną jesteś... ale nie płacz... no! nie bądź że głupią!... nie ociągaj się... przecież cię nie zjem.

— Boże!... co to ma znaczyć!?—zawołała Marya rozpacznie załamując ręce—gdzie ja jestem?... gdzie jesteś moja opiekunko!?

— Jestem... jestem... biegnę — zawołał z drugiéj stancyi Szkapa i wnet wybiegł, lecz już w męzkich sukniach—otóż jestem... lecz co... nie poznajesz mnie?... a przecie ja ten sam... ten sam moja duszko—dodał, znowu udając głos kobiéty — nie płacz więc... uspokój się... nie dam tym dwóm łotrom nic złego ci zrobić...

— Jak okropna zdrada! — wykrzykła Marya, w dłoniach kryjąc twarz swoją—

Boże! dla czego tyle na raz dopuszczasz na mnie nieszczęścia?... same zdrady... same podstępy... nigdzie prawdy... nigdzie poczciwości... Ach Boże!... Boże!... i dokąd jeszcze cierpić będę?... czyż się nie ulitujesz nademną... nie odbierzesz mi tego nędznego życia!

— Tylko nie krzycz tak — rzekł Teodor—blisko jest odwach... a nie miałbym ochoty spać dzisiaj w kozie, zwłaszcza, kiedy Szkapa ma pieniądze... a masz że je jeszcze?... czyś nie zgubił?

— Mam.

— To idź przynieś piwa... albo nie, dziś trzeba nam pić wino... na cześć tak ładnych ócz, sam wypróżnię z tuzin kieliszków.

— Ty sobie idź... boś nie pracował— rzekł Szkapa.

— Dozwólcie mi odejść..., puśćcie mnie!— wołała Marya — na Boga was zaklinam...

nie pastwcie się nademną... ja i tak aż nadto nieszczęśliwą.

— Co ci za nieszczęście — rzekł Szkapa—że straciłaś jednego gacha, kiedy za to masz nas trzech... Co... skrzywiłaś się? no... nie płacz.

— Szkapo! ty źle zrobiłeś — rzekł półgłosem Leon, którego dobre serce rozrzewniło się, na widok cierpień i łez dziewczyny — ty źle zrobiłeś... na co było ją zwodzić?

— Patrzcie go... co za moralista—rzekł Szkapa—zobaczysz Teodorze....

Nie dokończył, nagle bowiem otworzyły się drzwi, i do izby wszedł dozorca z Bibińską, a za niemi kilku żołnierzy.

— Oto jest jeden!—zawołała Bibińska, wskazując na Teodora—a ci dwaj—dodała, wytykając Leona i Szkapę—byli przebrani gdy mnie napadli... ręczę, że w drugiej izbie znajdziemy ich suknie.

Policyant rozstawił żołnierzy na straży,

i udał się za Bibińską do pobocznéj stancyi. Za chwilę wrócili z niéj, niosąc ubrania, jakie niedawno zdjęli Leon i Szkapa.

— A cóż znaczy ta dziewczyna?—zapytał policyjny sługa, wskazując na Maryą— która lękając się, ażeby nie była ofiarą nowéj zdrady, milcząc, oczekiwała następstwa wypadków, kiedy Teodor, Szkapa i Leon, jakby piorunem rażeni, nie umieli słów znaleść na swe usprawiedliwienie.

— Nie musi być nic od nich lepszego—odpowiedziała lichwiarka, na zapytanie dozorcy—żadna porządna dziewczyna, nie zadawała by się z takiemi łajdakami.

Powiązawszy ręce trzem winowajcom, wyprowadzono ich na ulicę — Maryę zaś, ponieważ nie mogłaby zdążyć za idącemi, dwaj żołnierze wzięli pomiędzy siebie—i cały ten orszak, do którego przyłączyła się jeszcze Bibińska, pociągnął Czerniakowską ulicą.

* *
*

Po wyprowadzeniu śledztwa, Teodora, Szkapę i Leona jako winnych kradzieży, oddano do domu Badań — Maryą zaś, ponieważ okazało się, że nie wiedziała o występku swoich towarzyszów, osadzono w domu *Przytułku i pracy*.

* * *

W parę dni, Konrad, znowu otrzymał bilet od brata, wzywający jego się za nim wstawienia—tym razem jednak Konrad nie uczynił tego, a pozostawiając Leona w więzieniu—które spodziéwał się, że prędzéj jak wszystko go poprawi—natychmiast napisał do ojca, donosząc mu o całém postępowaniu brata, i smutnéj kolei jakiéj on uległ.

Po wyprowadzeniu Stefańca, Teodorą, Szkapę i Lecha jako winnych kradzieży oddano do domu Badań — *Marya* zaś, ponieważ okazało się, że nie wiedziała o występku swoich towarzyszów, osadzono w domu *Przytułku i pracy.*

W parę dni, *Konrad* znowu otrzymał bilet od brata, wzywający jego się za nim wstawienia—tym razem jednak Konrad nie uczynił tego, a pozostawując Leona w więzieniu—które spodziewał się, że prędzej jak wszystko go poprawi—natychmiast napisał do ojca, donoszące mu o takiem postępowaniu brata, i smutnej kolei jakiej on uległ.

VII.

„MIŁOŚĆ WZAJEMNA.

—

Upłynęły dwa miesiące od dnia, w którym Leon i jego towarzysze, zostali ujęci w domu przy ulicy Czerniakowskiéj. Po gorącém lecie, nastąpiła również ciepła i pogodna jesień, wywabiająca warszawskie piękności, na rozliczne miéjsca przechadzki.

Nic prawie nowego nie zaszło w ciągu tak długiego czasu, wszystko było tak samo jak piérwéj: tak samo między Gustawem a Kamillą istniały ich stosunki—tak

samo Henryk pysznił się sławą milionera—tak samo Laura marzyła o świetnéj przyszłości—tak samo Łubowski, szalał za Konstancyą i nie szczędził dla niéj pieniędzy.

W jednym tylko Erneście zaszła niejaka zmiana,—już teraz w zupełności poznał że kocha Emilią, a kocha nie tą miłością jaką dawniéj płonęło jego serce, na widok każdéj, odznaczającéj się piękności — na spojrzenie każdego czarownego oka—lecz uczuciem stałém, silném, opartém na zastanowieniu i zbadaniu duszy młodéj dziewczyny, jaka pod każdym względem godną tego była.

Już i tak bywając bardzo często w domu pani Robińskiéj,—Ernest, w końcu zmienił swoje wizyty, na codzienne widzenie Emilii. Teraz tylko jéj towarzystwo bawiło, zajmowało go, — przy niéj był wesołym, rozmownym — odchodząc, stawał się smutnym, zamyślonym. Teraz dopiéro w ca-

łéj rozciągłości poznawał swoje przeznaczenie—czuł się być lepszym, codzień silniej kochającym ludzi, i gotów był czynić im tyle dobrego, ile tylko było w jego mocy. O, zaprawdę... zaprawdę, że zły nie może kochać prawdziwie — czysta miłość jest to nasienie, jakie niewzrośnie na złym gruncie—a jeżeli serce przyjmie ją i wypielęgnuje, nie jest jeszcze zupełnie zepsutém, choćby nawet przed tém nie zadrżało przed występkiem—jeszcze dla niego jest nadzieja poprawy.

Czyż mam potrzebę powiadać, iż Emilia również kochała Ernesta? —jéj charakter żywy i namiętny, dusza czysta i tkliwa, już przy piérwszém widzeniu młodzieńca, zapaliły się uczuciem, jakie dzień zdniem wzrastając, w końcu stało się niezbędném do jéj istnienia.

Długo Emilia nie powiedziała sobie, że kocha Ernesta—nie pomyślała, że i on nawzajem kochać ją może. — Nie pomyślała

o użyciu środków przez jakie mogłaby się podobać i zyskać miłość Ernesta. Nigdy nie marzyła o nim jak o swoim kochanku,—a tym mniéj, ażeby on, kiedyś miał zostać jéj mężem. Jéj tak dobrze było z tą niewiadomością, z tém życiem tylko w chwili obecnéj; z tą radością jaką czuła gdy Ernest był przy niéj — smutkiem jaki ją naciskał, kiedy się oddalał. Dziś, nie była już ona tą dawną roztrzepaną i wesołą—przybyło jéj jakiéjś powagi—na twarzy malował się nie wysłowiony wyraz— Nie raz podparłszy główkę, dumała i dumała... długo, długo dumała; nie raz w czasie podobnych chwil i łzy błysły w jéj oczach, i smętny uśmiéch błyszczał na jéj ustach—lecz tak cudnie było jéj z témi łzami z tą tęschnotą—iż gdyby Ernest ujrzał ją w téj chwili, pewno nie umiał by się chamować — nie umiał by dłużéj ukryć uczuć swego serca.

* * *

Jak niegdyś w czasie piérwszéj wizyty, siedzieli i dzisiaj przy sobie, przy témże samém oknie, gdzie już ich raz widzieliśmy. Właśnie zaczyna się ciemnić, pani Robińska wyszła do kuchni ażeby przygotować światło. Teresa, mało siedząc w domu, i teraz tu się nie znajdowała, dwoje więc kochanków sami zupełnie pozostali w pokoju.

Nie piérwszy to raz tak sam na sam schodzili się, matka bowiem zajęta gospodarstwem, nie zawsze mogła się z niemi znajdować—lecz tak była czystą ożywiająca ich miłość—tak niewysłowioną, nieporównaną ufność, jaką Emilia okazywała swemu kochankowi,—tak nąkoniec, prawy sposób jego myślenia i szlachetne serce, iż można było, zupełnie spokojném okiem zapatrywać się na ich tak bliskie stosunki, i nie lękać się o czystość niewinnego anioła, bo nad nią czuwało troskliwe oko mężczyzny—a jego miłość osłaniała ją ochronnemi swémi skrzydły.

— Emilio—rzekł Ernest, bo w rozmowach z młodą dziewczyną używał już téj poufałości i wzajem ją odbiérał—Emilio—mówił po chwilowém milczeniu, uważając nagłe zadumanie w jakiém utonęła jego kochanka—Emilio, o czém tak myślisz?... dla czego masz tak poważną minę?... dla czego widzę łzy w twoich oczach? — zapytał biorąc jéj rękę.

— Ach! — krzyknęła lekko drgnąwszy Emilia—nic mi nie jest... tak... troszkę zamyśliłam się... i nie wiém dla czego nagle mnie żal przejął.

— I cóż mogło by być powodem twego smutku? — zapytał Ernest, zwracając spojrzenie na młodą dziéwczynę—czyż nie jesteś szczęśliwą?... czyż ci brak czego?

— O! nie... nie... wszystko mam czego mi potrzeba: matkę, która mnie kocha;—spokojność duszy, któréj tylu ludzi napróżno pragnie;—i ciebie... ciebie przyjacielu mój—

dodała przyciskając jego rękę do swoich piersi.

— Kiedy tak, nie powinnaś więc płakać.

— Moje łzy, to łzy wzruszenia... szczęścia... o, ja nigdy... nigdy jeszcze tak nie płakałam jak teraz!... O Erneście!—mówiła dalej z coraz większém wzruszeniem — żebyś ty wiedział jak ja jestem szczęśliwą w podobnych momentach... z jaką rozkoszą umierała-bym wtedy... bo śmierć w podobnej chwili, to byłaby rozkoszą.

— Lepiéj niech takiém wiecznie będzie twoje życie... ty tak młoda... tak piękna... nie powinnaś mówić o śmierci... do ciebie uśmiecha się świat i miłość.

— Świat... miłość—powtórzyła Emilia—świat... o! czyż on może dać nam szczęście?.. żyć na świecie, to jest stosować się do jego wymagań... pełnić to, co on nakazuje... a ja czuję, że dla mnie nie takiego trzeba życia... Miłość... miłość prędzej bym wybrała... o tak! samej oddać całą duszę... kochać w cicho-

ści serca... skrycie... staraniem i troskliwością, otoczyć przedmiot swojego zajęcia... jak duch opiekuńczy nie odstępować go ani na krok... saméj ukochać całą mocą... całą siłą serca, choćby wzajem nie otrzymać przywiązania... oto, czegobym pragnęła, o czém każde wspomnienie, rozkosznie wstrząsa mną, aż do głębi mojego jestestwa.

Oczy, twarz Emilii, gdy mówiła te słowa były ożywione—jéj usta drżały—łono wznosiło się — a gorący oddech owiéwał rękę młodzieńca, którą Emilia odjąwszy od swych piérsi, przyłożyła do czoła i twarzy, a potém nagle przycisnęła ją do rozpalonych ust swoich.

— Emilio... Emilio, co czynisz!—zawołał Ernest, chcąc usunąć rękę.

— Pozwól mi ją—odpowiedziała zaledwie dosłyszanym głosem dziewica.

— O! moja droga Emilio—zaczął znów Ernest—jakże szczęśliwym byłby człowiek

którego byś tak kochała—gdy przed chwilą mówiłaś z tak wielkim zapałem... taka rozkosz wstrząsała mną, iż o mało nie upadłem do nóg twoich, i nie powiedziałem ci, że cię kocham... kocham tém uczuciem, jakie mi tak ponętnie wystawiłaś.... Kocham cię już od chwili naszego poznania.... Codzień powróciwszy do siebie, zaglądam w swoje serce i przypatruję się uczuciu, jakie dziś, dla mnie, nie wysłowiony ma urok.... Tak Emilio... tak ubóstwiona istoto... ja cię kocham... namiętnie kocham.

I pochylił się nad czoło dziewicy i przytulił ją do piersi.

— Kocham—powtórzyła prawie po cichu Emilia — kocham... o! i ja cię kocham... kocham, jak cię nikt nie kochał i kochać nie będzie... o tak!..

I oparła głowę na ramieniu Ernesta, jéj ręce opadły na kolana, a złączone z dłoniami Ernesta, — oddały sobie wzajemny, niewypowiedziany, pełny uroku uścisk.

W takiém położeniu zastała ich pani Robińska, wchodząc do ciemnego pokoju z zapaloną świecą.

VIII.

MAJĄTEK NIE STANOWI SZCZĘŚCIA.

—

Ernest powstał, i udał się naprzeciwko niej.

— Matko—rzekł, biorąc rękę pani Robińskiej — bo pozwól że ci dam to nazwisko—dobrze że przyszłaś, właśnie chciałem z tobą pomówić.

— Ze mną?.. słucham pana—rzekła pani Robińska drżącym głosem, tak ją bowiem wzruszył tytuł matki, jakiego przed

chwilą użył do niéj Ernest—słucham cię.., mów, co mi miałeś powiedzić.

— Oto, dowiédz się pani, że kocham twoją córkę... i wzajem jéj miłość posiadam.

— Kochasz moją dobrą Emilię... moje drogie dziecko!—zawołała z radością matka—o! i ona cię kocha... ja to wiém... ja to dawno uważam.

— Tak jest, wzajemne uczucia ożywiają nas, rzekł Ernest, od ciebie więc tylko zależy, ażebyś je chciała uwiecznić swojém zezwoleniem.

— Mojém zezwoleniem... czyż ono jest potrzebném?.. bo i zresztą czyż bym mogła się sprzeciwiać?... Wierz mi bowiem panie— mówiła zwracając się do Ernesta — że dawno już kocham cię jak syna... i że już wtedy, gdy nie wiedziałam jeszcze, iż zechcesz zaślubić moją Emilię, już pragnęłam, ażeby, jeśliby kiedy miała iść za mąż, dostała małżonka do ciebie podobnego. Ale trzeba ci wiedzić wszystko... dowiedz się

więc, że Emilia nié ma majątku... i że prócz niéj, nic ci dać nie będę mogła.

— Alboż to mało! — zawołał Ernest, pochwyciwszy rękę Emilii — taka dusza... takie serce, to skarb nie oceniony... Majątek nie stanowi szczęścia... podstawa pomyślności leży w spólném przywiązaniu... a kto znalazł anioła... kto go ukochał i został wzajem kochanym... otrzymując go, zyskuje już najkosztowniéjsze wiano... najdroższą spuścizną.

— Ale mój Erneście — rzekła Emilia — ty tak młody... tak bogaty... mógłbyś się świetnie ożenić... mógłbyś znaleść kobiétę, która by cię równie jak ja kochała... lecz za pomocą któréj, nowa by na ciebie świetność spłynęła.

— I to ty podobnie mówisz Emilio!? — rzekł Ernest z wyrzutem — mnie myślić o innéj miłości... o innych związkach... niedobra! czyż tak mało mnie znasz... że mogłaś sądzić, iż byłbym szczęśliwym z inną

a nie z tobą?.. że zaślepiony bogactwy, w nich szukałbym szczęścia... o nie!.. mając sam dosyć, co mi po nowych zbiorach?.. zbytek... przepych... w niczém nie przykładają się do miłości... i owszem, one ją zabijają.

— Przebacz mi — rzekła Emilia, — lecz powiedziałam to, nie w chęci obrażenia cię, kto tak kocha jak ja, ten przedewszystkiém pragnie szczęścia istoty, któréj oddał swe serce... A czyż mogłabym żyć, widząc, że ci go nie zapewniłam?

— Zapewnisz... zapewnisz mój aniele!.. tylko sama chciéj... zawsze bądź taką jak dzisiaj... kochaj mnie tak, jak teraz mnie kochasz... a twój mąż będzie szczęśliwym.

— O tak... będziesz nim... będziesz... takiém otoczę cię przywiązaniem... taką troskliwością... że musisz nim być!.. ach! bo ja bym nie żyła gdyby tak nie było!

— Niechże więc was Bóg błogosławi moje dzieci! — zawołała pani Robińska,

przyciskając do piersi, Ernesta i Emilią—bądźcie szczęśliwi!.. a i ja taką będę... zawsze znajdziecie we mnie przywiązaną, kochającą was matkę...

Kochankowie uklękli przed błogosławiącą ich rodzicielką.

— Co ja widzę!—zawołała wchodząca w téj chwili panna Teresa — a to co ma znaczyć?..

— Jak widzisz, nie długo przybędzie nam nowa para — odpowiedziała z uśmiechem pani Robińska.

— Nowa para—pomruknęła stara panna—a to zkąd tak prędko?.. Co za dziwny człowiek—mówiła daléj sama do siebie—żenić się z takim smarkaczem... nie mógł sobie poszukać kobiety cokolwiek starszéj?.. Doprawdy, nie raz myślałam, że on mnie kocha... tak często patrzał na mnie... i ja wierzyłam temu... dziś nawet, o mało nóg nie połamałam biegnąc dla zobaczenia go... i warto było po co.

Teresa, ze złością rzuciła kapelusz, a dąsając się i krzywiąc, nie przemówiła już ani słowa.

— I cóż, rzekł Ernest, po chwilowem milczeniu, zwracając się do pani Robińskiéj— nie mieliście państwo jakiéj wiadomości od pani Pierońskiéj?

— Od tygodnia nic — ale może Teresa była dziś u niéj—a zwracając się do staréj panny dodała:

— Słuchaj no moja siostro?.. nie byłaś czasem u Pierońskiéj.

— Nie byłam... daj mi pokój — odpowiedziała opryskliwie panna Teresa.

— I nic nie słychać o jéj córce?—zapytał znów Ernest.

— Nic a nic... nikt nie wie co się z nią stało.

— A matka... czyż zawsze jednakowo na nią zagniewana.

— Zdaje się, że już zaczyna żałować swojego postępku... przynajmniéj, jak temu

ośm dni była u nas, można było czytać w jéj twarzy pewne oznaki cierpienia, gdy mówiła o Maryi.

— Bo też nadzwyczaj dziwny jéj postępek.

— Powiédz raczéj barbarzyński... okrutny—zawołała przerywając Emilia—wypędzić Maryą... tę biédną dziewczynę... tak dobrą... szlachetną i do tego za co?.. jak gdyby było jéj winą, że niegodnemu oddała swe serce.

W podobny sposób ciągnęła się rozmowa — prędzéj prawie jak mgnienie oka zbiegło dla kochanków kilka godzin.

Było już po ósméj, kiedy pani Robińska wyjrzawszy na ulicę, i widząc, że nadzwyczaj pięknym był wieczór, rzekła do Emilii i Ernesta:

— Warto by się może gdzie przejść?.. tak jest pięknie.

— A dobrze mamo—zawołała Emilia, wszak prawda Erneście, że dobrze?

— Pójdziemy razem—odpowiedział z cicha Ernest—czyż by więc mogło być inaczéj....

— A ty siostro, czy pójdziesz z nami?— zapytała pani Robińska staréj panny.

— Rozumié się że muszę... bo i cóż robiłabym w domu... siedząc sama jak na pokucie?—odpowiedziała z marsem panna Teresa.

Ernest podał rękę Emilii—pani Robińska przyjęła ramie swéj siostry, a idąc tak we dwie pary, wyszli z bramy i skierowali kroki ku Nowemu-Światu.

IX.

SUKNIA WSZYSTKIEM.

Każdy zna ten nie ustanny ruch Nowego-Świata, ten turkot ciągle przebiegających powozów, ten gwar przechodniów— wołanie stangrétów. Podobnyż hałas panował i teraz, na téj najznaczniejszéj, ulicy;—lubo już jest po godzinie ósméj, wiele jednak osób korzystających z pogody, rzadkiéj już w Listopadzie, uwijało się tam i napowrót, po gładkich chodnikach.

Czując rękę Emilii opartą na swojém ramieniu, często zwracając głowę, aby spojrzyć w jéj twarz ożywioną—Ernest, zupełnie zadowolony postępował wśród tego tłoku przechodzących.

Ubiór Ernesta był wytwornym i pełnym gustu, cokolwiek więc dziwacznie odbijał przy skromném ubraniu Emilii—złożoném z kamlotowego, watowanego płaszczyka, perkalowéj sukienki, i prostego kapelusika, ubranego jednym tylko kwiatkiem.

Ztąd nie jeden zwrócił uwagę, na tę nie harmonią stroju młodéj pary,—nie jeden nawet uśmiechnął się dwójznacznie, przymrużył oczów i zaśpiewał przechodząc około nich.

Pomiędzy témi był i Henryk, wracający z botanicznego ogrodu do teraźniejszego swego mieszkania w hotelu Rzymskim, dokąd wyniósł się po kłótni z Ernestem.

Henryk ujrzał i poznał go, a zdziwiony iż Kalicki prowadził się z kobietą tak źle

ubraną, przyłożył do oczu lorynetkę, i zaczął się im przypatrywać. Ernest nie zważając na to, gotów już był mu się ukłonić, lecz Henryk, odwrócił się, i udał że go nie spostrzega.

Ernest uśmiechnął się tylko na ten postępek Milionera—znając go dobrze, wiedział, że nie złość lecz głupstwo, podyktowało mu czyn podobny; rozkazując przedewszystkiém zważać na ubranie—a mało cenić ludzi, których strój nie był modnym i wykwintnym.

Nie dziwmy się jemu, bo czyż mało w około siebie znajdziemy takich, u których suknia jest wszystkiém.

Ernest odprowadziwszy do domu Emilią i dwie jéj towarzyszki, pożegnawszy się z niemi odchodził, kiedy nagle ktoś schwycił go za rękę, i zdziwiony młodzieniec ujrzał przed sobą Henryka.

— Umyślnie aż tutaj szedłem za tobą—rzekł milioner—ażeby się dowiedzić z kim

szedłeś gdy cię spotkałem — fe!... jak się nie wstydzisz prowadzić kobietę tak nikczemnie ubraną?... i do tego wysforować się z nią na Nowy-Świat.

— Dajże mi pokój z twojemi głupstwami—odpowiedział Ernest.

— Ależ mój drogi... zwracać na siebie uwagę... zmuszać, ażeby wytykano cię palcami że chodzisz z jakąś modniarką, to jest nierozsądek.

— Milcz głupcze!—zawołał przerywając Ernest—nie mów podobnie o kobiecie, która pod każdym względem godną jest powszechnego szacunku.

— Już ja bym ją nie szanował... taką gryzetę.

— Henryku! — zawołał Kalicki, silnie chwytając rękę Milionera — jeżeli powiesz jeszcze choć słowo, połamę ci kości.

— Tylko mię tak nie ściskaj... bo doprawdy ręki nie czuję—rzekł skrzywiwszy się Henryk; mniejsza o to, niech sobie

będzie kto chce twoja nimfa, dosyć, żebym ani na krok nie wyszedł z nią za bramę, i doprawdy, wolał bym się prowadzić z najrozwiąźlejszą kobietą, byle tylko była modnie i bogato ubraną, niż z tą, okrzyczaną twoją cnotą. Ale bądź zdrów..., nie mam czasu z tobą rozmawiać... muszę się spieszyć do Wizińskich..., dziś u nich wieczór wistowy... pewno się mnie spodziewają.

— Bądź zdrów... bądź zdrów — odpowiedział Ernest, szybko oddalając się od milionera.

Henryk jakiś czas patrzał za nim, wykręcił się na pięcie, stuknął parę razy laseczką a poświstując przez zęby, chwilę bujał się na obie strony, stojąc na tretoarze naprost bramy prowadzącej do mieszkania Wizińskich.

Nakoniec gwizdnął po raz ostatni, po raz ostatni zadzwonił kijkiem o kamień i z lekkiemi podrygami wszedł w bramę.

będzie kto chce twoja nimfą, dosyć, żebym ani na krok nie wyszedł z nią za bramę, i doprawdy, wolał bym się prowadzić z najrozwiązlejszą kobietą,- byle tylko była modnie i bogato ubraną, niż z tą, okrzyczaną twoją cnotą. Ale bądź zdrów... nie mam czasu z tobą rozmawiać... muszę się spieszyć do Wizińskich,, dziś u nich wieczór wistowy... pewno się mnie spodziewają.

— Bądź zdrów... bądź zdrów — odpowiedział Ernest, szybko oddalając się od milionera.

Henryk jakiś czas patrzał za nim, wykręcił się na pięcie, stuknął parę razy laseczką a poświstując przez zęby, chwilę bujał się na obie strony, stojąc na trotoarze naprzeciw bramy prowadzącej do mieszkania Wizińskich.

Nakoniec gwizdnął po raz ostatni; po raz ostatni zadzwonił łańcuszkiem o kamień i z lekkiemi podrygami wszedł w bramę.

X.

MIŁOŚĆ NIEWZAJEMNA.

Nie spodziewał się Ernest jakich miał u siebie zastać gości; otworzywszy drzwi, zdziwiony, ujrzał siedzące w przedpokoju Anielę, a obok niéj starą Magdalenę;—przed niémi stał lokaj Ernesta Andrzej, i zabawiał je rozmową.

— O, nie uwierzycie—mówił—jakie to dobre panisko... nie skąpy... ludzki... a poczciwy, że przysięgam na moją duszę, podobnego nie widziałem.

— Nie masz mi o czém mówić—odpowiedziała Magdalena—alboż mi to pierwszy raz widzić pana Ernesta?... przecie już trzy lata jak mieszka w tym domu... codzień prawie go widuję.

— Ale panienka nie zna go pewnie— rzekł Andrzéj zwracając się do Anieli.

— Znam go—odpowiedziała dziewczyna—nieznacznie rumieniąc się—ale jednak mów pan... z chęcią będę go słuchać.

— Już jeżeli kto, to ja, najwięcéj miałem sposobności doświadczyć jego dobrego serca—zaczął znów lokaj—pamiętam jak temu rok zachorowałem..., pan Ernest nie tylko że nie oddał mię do szpitala... ale jeszcze tak się mną zajmował... tak upominał doktora o moje wyzdrowienie... tak był dla mnie wyrozumiałym... że doprawdy, aż łzy kręcą mi się w oczach, za każdym razem, gdy sobie o tém przypomnę.

I Andrzéj podniósł rękę do twarzy i obtarł zwilżone źrzenice.

— Doprawdy, że dobry jak rzadko—odezwała się Magdalena — i mnie, i memu mężowi, nie raz dał tego dowody.

— Bardzo się cieszę — rzekł znów Andrzéj—że już raz uwolniliśmy się od pana Potrzaskiego, który przyczépił się do pana Kalickiego, jak pijany płota, i Bóg wié co chciał udawać.

— Jak to?... a więc nie mieszka już z swoim panem?

— Pokłócili się... i dla tego pan Henryk się wyniósł.

— I o cóż im poszło?

— Ja byłem przyczyną tego... że nie mogłem znieść z zimną krwią, ażeby mnie bił... pan Ernest też ujął się za mną... i ztąd przyszło do kłótni.

— Poczciwe człowieczysko... przynajmniej dobrze, że się pozbył tak niepotrzebnéj znajomości... a czy też pamiętasz—dodała zwracając się do Andrzeja—tę awan-

turę, za jaką cię pan złajał... ot... wtedy kiedy ta panienka zemdlała.

I mówiąc to, zwróciła wzrok na milczącą Anielę.

— Pamiątam... ale to pan Henryk był powodem wszystkiego.

— Doprawdy.

— A tak jest... bo też ten pan Potrzaski, to ni do Boga, ni do ludzi.. *tylko* by chciał coś udawać... chciałby każdemu rozkazywać... choć w kieszeni święta golizna.

— O to prawda... pamiętam co powiedział mężowi, gdy ten przyszedł do niego po kolędę.

— No?

— Oto, że nie ma drobnych... nie ma drobnych... no... co mi za pan... a kiedy mąż rzekł że pójdzie zmienić, wykręcił się do niego tyłem i rzekł: że nie ma czasu z nim rozmawiać... ho... ho... ani w setnéj części nie podobny do pana Kalickiego... który tak

dobry... tak poczciwy. . że tylko przyłożyć go do rany.

Milcząc, słuchała Aniela, tych pochwał oddawanych człowiekowi, którego ona tak bardzo kochała. Słowa lokaja i Magdaleny, odkrywające piękną duszę Ernesta, coraz silniej rozdmuchiwały w jéj piersi ogień namiętności, jaki trawił jéj serce; z opuszczoną głową—założywszy ręce na piersi, Aniela, chwytała każdy wyraz—powtarzała każde zdanie, jakie ściągało się do tego, który nie wiedząc, nieograniczenie nią zawładnął.

— Ależ powiedzcie moje panie—rzekł znów Andrzéj—bo zapomniałem pytać się was o to... po co przyszłyście do mojego pana?

— To nie mój interes... tylko téj małéj—odpowiedziała Magdalena, wskazując Anielę—pan Kalicki, temu miesiąc pomógł jéj i wyrwał ją z bardzo przykrego położenia... dziś więc przyszła mu podzięko-

wać... Kto wié jednak, czy się go doczekamy... już musi być po ósméj... nie długo czas nam będzie odejść, bo tak dwóm kobiétom iść przez ulicę to trochę nie przyjemnie.

— Zatrzymajcie się jeszcze moment... pan lada chwilę nadejdzie. . a dobrze będzie jak was zobaczy... może to rozpędzi jego smutek.

— Jest smutnym!—zawołała Aniela uderzona ostatniemi słowy Andrzeja — i cóż mu to?

— Sam nie wiém... od niejakiego jednak czasu uważam, iż codzień jest bardziéj zamyślonym... mniéj mówiącym.

— Czekaj... bodajem nie zgadła! — zawołała Magdalena—kto wié czy twój pan nie zakochał się.

Lekkie drżenie przebiegło Anielę.

— Zakochał... a może... nie znam się na pańskiéj miłości... nie mogę ci więc powiédzić, że tak.

— Nie wiesz czasem gdzie twój pan bywa?—zapytała Magdalena.

— O, to wiém... codzień prawie w pewnym domu na Lesznie... kilka już razy z Janem tam go odwoziliśmy.

— A nie wiesz kto mieszka w téj kamienicy?... czy nie widziałeś czasem jakiéj młodéj osoby?

— Raz, kiedy wysadziłem pana... uniosłszy głowy do góry, ujrzałem w otwartym lufciku, na drugiém piętrze, jakąś młodą panienkę, pilnie patrzącą się na pana Ernesta, która jednak, w moment zamknęła okno, kiedy pan Kalicki wszedł do sieni.

— To ona... ręczę ci że ona.

— Co za ona?

— A ta, którą kocha twój pan... ale co to ci moje dziécię?—zapytała Anieli, która słysząc powyższą rozmowę, nagle zbladła i zalała się łzami.

— Nic mi... nic—odpowiedziała Aniela, szybko obcierając oczy.

— Ależ ty płakałaś?

— Nie wiem zkąd mi się łzy wzięły—odpowiedziała dziewczyna, lękając się ażeby ktoś obcy nie dowiedział się o stanie jéj serca.

W tej to chwili wszedł Ernest, i zdziwiony, zatrzymał się w otwartych drzwiach.

— Przyszłyśmy ci podziękować panie—odezwała się Magdalena — już czekamy przynajmniej od dwóch godzin... chciałyśmy właśnie odchodzić... ale Andrzej powiedział nam, ażebyśmy jeszcze zaczekały.

— Przepraszam — rzekł Ernest — a cóż moje dziécię—dodał, zwracając się do Anieli—jakże się mają twoi rodzice?

— Już prawie zdrowi — odpowiedziała drżącym głosem, niepodnosząc oczu Aniela—sami przyszliby panu podziękować... lecz jeszcze nie mają sił potemu.

— Czy jeszcze zostają w szpitalu?

— Nie... znowu mieszkamy razem... i razem... codziennie, możemy dziękować Bogu, i prosić Go o szczęście dla naszego dobroczyńcy—odpowiedziała Aniela, wznosząc na Ernesta oczy, pełne najżywszej wdzięczności.

— Ale pójdźmy już—zawołała Magdalena, czy słyszysz uderzyła dziewiąta,—tak nie wiém, jak same powracać będziemy.

— Andrzéj was odprowadzi—rzekł Ernest.

— No, bądźcie zdrowe — rzekł Ernest, gdy dwie kobiéty gotowe już były do odejścia—Andrzeju! pamiętaj, ażebyś dobrze prowadził.

Magdalena zbliżyła się do Ernesta, a korzystając z jego nieuwagi, wiedziała bowiem, że w innym razie na to by niepozwolił, wzięła rękę młodzieńca w swoje

dłonie, i do ust ją przycisnęła. Aniela chciała toż samo uczynić, lecz wstrzymał ją Ernest i rzekł:

— Nie dziécię... nie czyń tego... jesteś kobiétą... a kobiéta, zawsze powinna miéć dumę.

I powiedziawszy te słowa, pochylił się, i pocałował ją w głowę.

Aniela wyszła do sieni.

Odurzonéj ostatnim postępkiem Ernesta, zdawało się, że jeszcze czuje na swojém czole jego pocałónek—pocałónek, jaki przedarł się do jéj mózgu. I naciskając piérsi rękami, ażeby uspokoić gwałtowne bicie serca, Aniela szła za Magdaleną i Andrzejem, nie wiedząc prawie gdzie idzie.

W takim stanie przybyła do domu, a rzuciwszy się na nie rozebrane łóżko, gorzko zapłakała, bo za każdém widzeniem Ernesta, za każdém, więcej czułym jego postępkiem, odsłaniał się przed nią

raj jakiego by doznała na ziemi, gdyby Ernest ją kochał—a jaki utraca na wieki, ponieważ jéj miłość nie była nagrodzona wzajemnością.

Biédne dziecko!!!

XI.

[illegible] Państwa Wizińskich.

Od niejakiego czasu, wiele stracił na dawnéj swéj świetności dom państwa Wizińskich: gdyż Ernest zajęty Emilią zupełnie wizyt zaniechał—Konrad dotąd tylko szyderstwem lub obojętnością nagradzany za swą miłość, również zrzedził częstą obecność obok dumnéj i wymagającéj Laury—Łubowski obok Konstancyi—Gustaw obok Kamilli przepędzali chwile, nie mieli więc czasu na obojętną dla nich wizytę—jeden

tylko Henryk zaglądał czasami, ażeby się pochlubić z nowym strojem, lub wystrzelać cały nabój nowin, jakich mu nigdy nie brakowało. Rozumie się, że ta tak nagła zmiana srodze dręczyła Laurę, tym bardziéj, że coraz zapędzając się w lata, dzień z dniem widziała znikające dumne swe nadzieje.

Dla tego też, niechętną i skrzywioną można ją było widzić jak rano tak i wieczór a w jéj ustach ciągłe brzmiały utyskiwania na niestałość i lekkomyślność mężczyzn.

W podobnym też humorze, wstawała i dziś od stołu, było to tegoż samego dnia, którego wieczór, w poprzednich opisaliśmy rozdziałach.

Właśnie pan Wiziński obtarłszy usta serwetą, gotów już był przejść do swego pokoju, kiedy nagle zatrzymał go głos żony, mówiącéj następujące słowa:

— Mój Wicusiu, podobno to dzisiaj u nas wieczór wistowy?..

— I po co się pytasz, kiedy wiesz, że w środę schodzą się moi koledzy, ażeby się razem parę chwil rozerwać.

— Bo to papo—odezwała się Laura— dobrze by było ażeby również zaprosić i kogo z młodzieży.

— Czyż mało jéj bywało — zawołał przerywając Wiziński — nie moja wina że nie umiałaś ich przy sobie zatrzymać.

— Nie winuj o to Lorcię — rzekła matka—winna raczéj nie stałość tych panów.

— Kto winien, mniéjsza oto, dosyć, że nikt nie bywa... kogoż więc prosić?

— A Gustaw?

— Gustaw... alboż dawno go prosiłem... i czyż nie przyszedł... czemu jednak nie powtórzył swéj wizyty, o tém nie wiém.

— Ach to winą wszystkiego ta szalona dziewczyna—rzekła Laura z oburzeniem— gdyby nie ona, pewno Gustaw przyszedłby powtórnie.

— O jakiej mówisz dziewczynie? — zapytał Wiziński.

— O Anieli... co to papa pamięta, parę miesięcy temu przyszła prosić o wsparcie.

— Wiém... już wiém... było to przy baronie Karwicz i jego synu.

— Tak jest.

— Widzisz więc że nie naszą winą— odezwała się Wizińska — iż Gustaw przestał bywać, gdybyś jednak chciał pójść do niego, a ręczę, żeby ci nie odmówił... i tak...

— Jeszcze czego!—zawołał przerywając Wiziński — pójść wprawdzie pójdę, nie po to jednak, ażeby się uniżyć przed jednym świstakiem, lecz dla zobaczenia się z baronem, bo aż mi przykro że tak dawno go nie widziałem.

— Za jedną jednak drogą—rzekła Laura — mógłby papa zarazem zobaczyć się i z Gustawem.

— Raz powiedziałem że ani o tém myślę.

— Ależ mój Wiciusiu... uważ iż Gustaw byłby bardzo dobrą partyą dla Laury— rzekła Wizińska.

Wiziński wzruszył ramionami.

— Dobra partya—powtórzył—ależ, jak mogłem uważać, Gustaw ani myśli o żonie.—Czego chcesz?—dodał, zwracając się do lokaja który wszedł w téj chwili.

— Jakiś pan pyta się, czy może mówić z panem?—rzekł służący.

— Z kim?.. ze mną?

— Tak jest.

— I gdzież on jest?

— W przedpokoju.

— Poproś go do gabinetu, i powiedz, że zaraz przyjdę.

Lokaj wyszedł.

— I cóż?.. pójdziesz do barona?—zapytała znowu Wizińska.

— Pójdę.

— A Gustaw?

— Daj mi raz pokój z tym Gustawem—

zawołał Wiziński otwierając drzwi—miałbym też po co chodzić, ażeby się kłaniać jednemu smarkaczowi.

I wyszedł.

— A co mamo!.. czyż ci raz mówiłam— zawołała z płaczem Laura — że papa nie chce mojego szczęścia... nie chce ażebym wyszła za mąż... a jednak, niedawno, tylu miałam wielbicieli... tak się ubiegano o jedno me spojrzenie... o jeden uśmiéch... a dziś... o! nie stali! niegodziwi mężczyźni!!

— Nie masz się czém tak bardzo martwić—rzekła pani Wizińska—przecież nie jesteś jeszcze zbyt przestarzałą... jeszcze czas... miéj tylko cierpliwość... a zobaczysz, że wszystko się odmieni.

— Odmieni — powtórzyła dąsając się Laurze—nie wiem kiedy... czyż zapomniałaś mamo, że mam już lat dwadzieścia pięć...

— I cóż z tego... kiedy nikt o tém nie wie....

— Zapewne... nie wie—rzekła wzrusza-

jąc ramionami młoda dziewczyna—wielka szkoda że nie słyszałaś mamo tego co ja.

— Tego co ty?.. i cóż takiego słyszałaś.

— Co słyszałam... o! okropną... niegodziwą rzecz... było to temu kilka dni... kiedy, jak pamiętasz mamo byliśmy w Saskim ogrodzie.

— Ach, to pewnie wówczas, gdyśmy spotkali pana Świcińskiego — rzekła pani Wizińska.

— Tak jest... i właśnie o nim mam mówić.

— O nim?.. lecz zdaje mi się że on nic złego nie zrobił.

— Wprawdzie on nie... ale jego koledzy.

— I cóż takiego.

— Czyż nie słyszałaś mamo? a ja sądziłam, że to nie uszło twej baczności.

— Nie wiem o niczém... jak cię kocham!.. powiédz mi więc.

— Otóż wtedy, kiedy spotkaliśmy pana Świcińskiego i gdy on, przechodząc ukło-

nił się nam, jeden z jego towarzyszów rzekł: „A więc to panna Wizińska... lecz dalibóg... ona porządnie stara... „Cyt.. mów ciszéj— odpowiedział Lucyan — bo cię usłyszy.— „I ileż ona ma mieć lat... „Jak utrzymują... ośmnaście... „Ośmnaście ha! ha! ha! chyba przed dziesięcią laty miała tyle.

— I ty to słyszałaś?—zapytała czerwieniąc się od gniewu pani Wizińska.

— Jak najwyraźniéj... umyślnie bowiem przystanęłam i udałam że zrywam kwiatek ażeby się lepiéj przysłuchać... a że ten pan wcale się nie wystrzegał i mimo napomnień Lucyana, mówił głośno, nie miałam więc potrzeby bardzo natężać uwagi, aby wszystko zrozumiéć... Przyznaj więc sama, moja mamo, czy nie mam słuszności martwiąc się tak jawną niestałością mężczyzn.

— Bardzo mi żal, że z Ernestem tak nagle zerwaliśmy, a była to właśnie jedna z najlepszych dla ciebie partyi.

— Kto, Ernest?.. eh! ja go wcale nie ża-

łuję... człowiek który może się uniżyć do podobnych znajomości jak te panie z przeciwka, nie wart jest, ażeby był przyjmowanym w porządnym domu.

— Jednakże ta panienka wcale ładna.

— Ładna... jak nie jedna szynkarka lub kawiarka... doprawdy! miała bym ochotę wydrapać jej oczy, za to tylko, że poważyła się wabić niemi do siebie człowieka, który mógłby zrobić karyerę, łącząc się z jakim znakomitym domem.

Tak rozmawiały z sobą matka i córka, kiedy pan Wiziński przyjmował w swoim gabinecie oznajmionego mu gościa.

Ale *ten* gość niekoniecznie miłym był dla niego.

Jest nim bowiem Józef Dębik, syn ubogiej wdowy — ten sam, za którym Konrad temu parę miesięcy prosił ojca Laury.

Pamiętamy pewno, jak Wiziński przyobiecał Konradowi, uczynić zadosyć jego

prośbie — i jak dozwolił na przedstawienie sobie owego młodzieńca.

Również najsolenniejsze przyrzeczenia i najpiękniejsze obietnice, otrzymał Józef od pana Wizińskiego, ale zarazem, Wiziński powiedział mu, że musi parę dni poczekać.

Upłynęło parę dni — Dębik zgłosił się do swego protektora.

Lecz znów kazano mu czekać.

Tak minęły dwa miesiące, Dębik ciągle łudzony obietnicami i nadzieją, już po szósty raz przychodził dzisiaj do domu pana Wizińskiego,

Ujrzawszy wchodzącego, Dębik—złożył głęboki, pełny uszanowania ukłon.

— Ach to znowu ten natręt—pomruknął Wiziński, marszcząc twarz—lecz w moment ją wypogodził, a przywoławszy najprzychylniejszy uśmiech, zawołał, z serdecznością podając rękę młodzieńcowi, której Józef zaledwie się dotknął.

— Jak się masz kochany łaskawco!..

lecz jeszcze zawcześnie... jeszcze nié ma nic dla ciebie.

— Nié ma—powtórzył boleśnie młodzieniec — o! mój Boże!.. niczego się więc nie doczekam!.. a moja matka... moja biédna matka!..

Nie dokończył — boleść zamknęła mu usta... łzy w oczach błysnęły.

— Trzeba być cierpliwym...trzeba czekać.

— Czekać!—powtórzył zapominając się Józef, czekać—i uniósł głowę i okazał całą szlachetną twarz swoją, która choć napiętnowana boleścią i żalem, odbijała jednak w sobie prawą, wzniosłą duszę—czekać... łatwo to temu mówić kto ma wszystko... kto nie zna co to nędza i niedostatek... lecz gdybyś pan tak jak ja doświadczał brak najpierwszych potrzeb... gdybyś tak jak ja patrzał na boleść schorzałéj, staréj matki... gdybyś tak jak ja nie raz zasypiał z głodem w piérsi, o wtedy panie, pewno nie mówił byś podobnie.

— Za zbyt się rozgadałeś młodzieńcze— rzekł Wiziński—przez to tylko psujesz swoją sprawę.

— Może być że źle uczyniłem... lecz stało się i nie żałuję tego... Cóż więc, jaką mi pan dobrodziej dajesz odpowiedź?

— Czekaj... jak znajdę co dla ciebie to ci sam dam znać.

— Dobrze odpowiedział Józef—będę cierpliwym.

I wyszedł—w duszy przyrzekając sobie, nie przestąpić więcej tych progów.

Po odejściu Józefa, Wiziński przywołał służącego i kazał się ubrać.

W pół godziny po tém zajechał powóz którym Wiziński miał pojechać do Barona Karwicz.

XII.

SCENY U PAŃSTWA WIZIŃSKICH.

—

Już od owego dnia, w którym miał miejsce bal w domu Wizińskich, Karwicz uczuł w swéj duszy rodzącą się namiętność dla czystéj niewinnéj Anieli, jaką bardziéj jeszcze podsycały jéj opór i stałość, kiedy głucha na jego przedstawienia, z pogardą odtrąciła świetną przyszłość, jaką on jéj obiecywał.

Mimo tego jednak, nie stracił on nadziei i ciągle łudził się, że czy prędzéj

czy później, znajdzie Anielę powolną swym żądaniom, dla tego też, nie raz jeszcze po chwili, w któréj Ernest nie dozwolił mu wykonać niecny jego zamiar—zachodził do mieszkania Bibińskiéj, i starał się za jéj pomocą skłonić Anielę ku swoim zamiarom. Ale Magdalena wcale nie odstępowała młodéj swéj przyjaciołki, a jéj opieka bezustannie nad nią czuwała, *tak*, że wszelkie podstępy lichwiarki, podbudzanéj pieniędzmi Barona rozbijały się o nieprzedajną, niewzruszoną jéj poczciwość.

Widząc to Karwicz, postanowił z innéj uderzyć strony i saméj Magdaleny użyć za pomocnicze narzędzie, do wykonania niecnych swych zamiarów. W tym więc celu, pewnego dnia—przed parą miesiącami—a było to wtedy, kiedy Anielę widzieliśmy w szpitalu obok łoża chorych swych rodziców, posłał lokaja do mieszkania młodéj dziewczyny, który za pomocą zręcznego wybiegu, miał Magdalenę ściągnąć do Baro-

na. I w zupełności udał się ten zamiar, Magdalena dała się oszukać i poszła za lokajem, sądząc, że idzie do pewnéj pani, od któréj ma dostać jakąś robotę. Łatwo więc wystawić sobie zdziwienie, kiedy w miéjsce oczekiwanéj osoby, ujrzała Karwicza; jakie stało się jeszcze większym, gdy ten oświadczył Magdalenie że kocha Anielę, i że żąda, ażeby ona, dopomogła mu nakłonić serce dziewczyny, i uczynić ją powolniejszą niż jak dotąd była.

Z początku Magdalena sama nie wiedziała co odpowiedzić, oburzenie uczyniło ją niemą na chwil parę—aż nakoniec przychodząc do siebie, wylała na głowę starego uwodziciela cały zdrój żółci i wyrzutów, jakie jéj gniew i żal do ust podały—i opuściła mieszkanie Barona, z mocnem postanowieniem nie wspominania nic przed Anielą o tém, co zaszło między nią a Karwiczem.

Oto był powód, dla jakiego tak mil-

czącą widzieliśmy ją w dniu, w którym wraz z Anielą wychodziły ze Szpitala, i dla czego ta ostatnia napróżno, pytała się jej o powód zagniewania, jakim cała jej twarz odbijała.

Zdawało by się, że te, tak ciągłe niepowodzenia, powinny by były ostudzić nie wiém jaką namiętność; nie *tak* się jednak miało z Karwiczem, i ten niezrażony oporem dziewczyny, nagle uczuł rodzącą *się* w swém sercu gorącą, gwałtowną miłość, podsycaną żądzą i chęcią co rychléjszego posiędzenia przedmiotu swych zapałów.

To też uczucie było powodem, że Karwicz, po dwókrotnéj bytności w domu Wizińskich, zupełnie zaniedbał swego szkolnego kolegę, cały bowiem wolny czas poświęcał na wyszukanie środków, przez jakie mógłby dopiąć swych zamiarów.

Wszystko to jednak było napróżno.

Aniela jak dawniéj pozostała czystą... nieskalaną.

Magdalena wierną i poczciwą.

A Karwicz szalał coraz bardziej.

W takim były stanie rzeczy, kiedy Wiziński pobudzony przez żonę i córkę, udał się do mieszkania Barona.

Karwicz ujrzawszy go, prawdziwie się ucieszył, spodziewając się, że chociaż na chwil parę zapomni o uczuciu, jakie zapełniając cały jego umysł, nie raz na najsroższe wystawiało go katusze.

— Baronie! co się tobie stało? — zapytał Wiziński powitawszy swego przyjaciela—ani zajrzysz... czyż byś się gniewał?

— Nie... nie wcale się nie gniewam— odpowiedział Baron, płonąc rumieńcem jak panienka — tylko nie miałem czasu, i oto powód mojego zaniedbania.

— Ty nie miałeś czasu — powtórzył z niedowierzaniem Wiziński—i cóż u licha? masz do czynienia!

— Tak... różne zajęcia.

— Zajęcia... zajęcia—powtórzył Wizin-

ski —eh!... kłamiesz bratku! — dodał klepiąc go po ramieniu—a co, wszak się nie mylę że chciałeś mnie tylko zwieść?

— Przeciwnie... mylisz się... bo rzeczywiście miałem w tym czasie wiele do czynienia.

— O! temu nie przeczę... ale gdzie?... ale z czém lub z kim?... a co, wszak na to mi nie odpowiész.

— Przeciwnie... mogę ci odpowiedzić.

— A więc?

— Wyjeżdżałem.

— Wyjeżdzałeś... gdzie i do kogo?

— Jak jesteś ciekawym... a jeżeli ja nie mogę ci na to odpowiedzić.

— Bo to widzisz mój Baronie, wszystko mi się coś zdaje, że ty masz kogoś... no! wszak rozumiész.

— Co za przypuszczenie—rzekł Karwicz przybliżając się do okna, ażeby ukryć pomięszanie—zkąd ci przyszła myśl podobna.

— Zkąd?... zabawnyś, alboż my to piér-

wszy raz się widziémy... albożto ja nie pamiętam twoich figielków?... a przecież w bałamutce, w miłostkach, ty zawsze prym trzymałeś.

— Co innego było dawniej mój Wincenty, wtedy człowiek był młodym i rzeźwym, a dziś postać się zgarbiła i twarz pomarszczyła i lat przybyło co nie miara... dziś o czém inném myślić trzeba, a nie o pustotach.

— Udawaj... udawaj... szkoda tylko że nie dawno sam byłem świadkiem twojego oczkowania.

— Ja oczkował... na kogo?

— Na kogo... i Wiziński zatrzymał się, chciał bowiem wymienić Anielę przypomniawszy sobie jednak cały wstyd na jaki wystawiła go obecność młodej dziewczyny—nagle zamilkł.

— No... na kogóż miałem oczkować... czyż się nie dowiem? — zapytał ciekawie Karwicz.

— Już się nie dowiesz, bo i zresztą dawne to dzieje.

— Dawne dzieje... i jak?

— Przed parą miesiącami.

— Przed dwoma miesiącami... ach!

Teraz Baron się zatrzymał—gdyż przed dwoma miesiącami pierwszy raz ujrzał Anielę, o kim by więc innym jeżeli nie o niej Wiziński mówił?

— Powiedz mnie mój Baronie — rzekł znowu Wiziński — co się dzieje z twoim synem?

— Gustawem?

— Tak jest.

— Przyznam ci się że nie wiem.

— Nie wiesz, jakto?

— Prosta rzecz bo nie mieszka ze mną.

— Wyprowadził się... i dla czego?

— Bóg go wie... widać że mu źle było i dla tego się wyniósł — dodał obojętnie Baron.

— Wielka szkoda że się z nim widzieć

nie mogę... a właśnie miałem ochotę wyłająć go że zupełnie o nas zapomniał..., tak samo jak i jego ojciec.

— Nie mów tego—przecież ja gotów ci towarzyszyć.

— Dobrze że mi przypomniałeś... a właśnie czas będzie nam iść... już blisko siódmej—mówił spoglądając na zégarek mogą czekać na nas.

— I któż będzie?

— Parę osób: Dependowicz, Kasztelanowa, pan Jawiński, Henryk.

— Cóż to za Henryk?... nie pamiętam go.

— Ten sam, co tyle przegrał w sztosa.

— Aha... ten młodzik... któremu wtedy zabrakło pieniędzy, że aż zégarek w twym ręku zostawił.

— Ten sam.

— Idźmy więc—rzekł Baron biorąc za kapelusz i wkładając rękawiczki.

Po tych słowach dwaj przyjaciele wzięli

się pod ręce, a zszedłszy ze schodów, wsiedli do powozu i odjechali.

Wkrótce przybyli na miejsce, niedługo potém w salonie Wizińskich, słychać było głosy zwiastujące że się gra zaczęła. Przez ten czas Laura siedziała przy fortepianie, a chcąc rozpędzić znudzenie, niecierpliwość i może nawet gniéw, raz po raz uderzała w klawisze, lecz tylko nie harmonijne, urywane wydobywała z nich dźwięki.

Przeszło godzina zeszła w ten sposób— uderzyła dziewiąta — kiedy nagle lokaj wszedł do salonu i oznajmił:

— Pana Henryka Potrzaskiego.

— Prosić... prosić—zawołała szybko Laura, powstawszy od pantalionu.

Henryk wszedł do salonu.

— *Bon jour!*—zawołał stawając przed Laurą—dawno pani nie widziałem... ach i pani dobrodziejka,—dodał biorąc rękę pani Wizińskiej—witam... witám ją.

— Powiédz pan, co było powodem, że

śmy go tak dawno nie widzieli?—zapytała Laura.

— Dawno nie zdaje mi się... chyba się pani myli.

— Nie mylę się... bo przecież przeszło tydzień u nas nie byłeś.

— Prawda — rzekł pomyślawszy Henryk—a mnie się zdawało, że nie ma jak kilka dni, kiedy miałem szczęście oglądania państwa.

— I cóż nowego pan nam powiesz— rzekła Wizińska.

— Nowego?... nic, chyba to, że dopiero co rozstałem się z Ernestem.

— Z Ernestem?—zapytały obie kobiety— i gdzie on poszedł?

— Pewno do siebie... bo nie pytałam się o to, tym bardziej, że rozeszliśmy się niekoniecznie w dobrej zgodzie.

— I o cóż panom poszło?

— Ernest rozgniewał się na mnie, gdyż

czyniłem mu bardzo zdrowe uwagi. Bo wystawcie sobie panie jak ten człowiek się poniża... *non seulement* że bywa u tak zakazanych figur jak te imoście z przeciwka, ale jeszcze włóczy się z niemi po Nowym-Świecie.

— A zatém go pan spotkałeś?

— Tak jest... chciał mi się ukłonić... lecz odwróciłem głowę i udałem, że go nie widzę, bo kiedy sam nie ma wstydu w oczach, to niech że nie zapomina, że inni go mieć mogą...

— Może pan Kalicki ożeni się z tą panną?—zapytała pani Wizińska.

— Ożeni się... a kto wie on gotów na to, potém przynajmniej co dziś od niego słyszałem... widząc jak się unosił na moje przedstawienia, jakiemi chciałem go przekonać, że prowadzić się z kobietą tak źle ubraną jak była ta panna, jest błędem nie do przebaczenia; — łatwo mogę uwierzyć, że ożeni się z tą gryzetką.

— Jeżeli pan Kalicki uczyniłby coś podobnego—rzekła Laura—sam by sobie winę przypisał, jeśli by odtąd wszystkie porządne osoby unikały go.

— Ech! i bez tego — rzekł uśmiechając się Henryk—mało on już i tak gdzie bywa.., zaniedbał wszystkich dawnych znajomości i cały oddał się swojej turkawce.

— To pan już z nim nie mieszkasz?— zapytała Wizińska.

— Pani o tém nie wie?... a przecie wspominałem, że wyniosłem się do hotelu.

— Prawda... przypominam sobie... mówiłeś pan... ale to już dosyć dawno.

— Umyślnie się wyniosłem — ciągnął dalej Henryk—*je m'y trouve mieux*... każdéj chwili jestem swobodny... wolny... kiedy chcę mogę się wynieść, nie koniecznie trzymać się terminu.

Tym razem bardzo słusznie mówił Henryk, gdyż pieniądze jakie wyłudził na

Łubowskim zwolna wysuwały się z jego kieszeni, a od niejakiego czasu szlachcic stał się skąpym, i rzadko już kiedy udało się Henrykowi zkorzystać co z téj znajomości. Parę już razy nawet Łubowski, widocznie się krzywił na kapryśne wymagania Konstancyi—nie chętnie czynił im zadosyć, i ze łzami prawie rachował, co przez tak krótki czas wydać musiał. Wszystko to było przepowiednią, że to złote życie jakie od niejakiego czasu wiódł Henryk z łaski Łubowskiego, musi się skończyć i że, znowu wypadnie mu wrócić do dawnéj swéj izdebki na Brzozową ulicę, z tą tylko różnicą, że gdy się do niéj wnosił, miał choć jaki taki dochód za pracę biurową, co miesiąc do jego ręki wpływający, a który dziś już ustał, albowiem Henryk uniesiony dumą—a było to w czasach kiedy ujrzał się tak bogatym przez własny przemysł—nie chciał uczęszczać do biura, albowiem nie zgadzało się z jego tonem, nie

odpowiadało temu wysokiemu *stanowisku* jakie, jak sam sądził, zajmował na świecie—siedzić przy bardzo skromnym biurku, i tylko w charakterze kancelisty na czysto przepisywać... o fe!... on miał by się tak poniżyć... on mieszkaniec Rzymskiego hotelu... wieczny lokator sztejnkelerek... prym między młodzieżą... zwiastón mody... pieścidełko salonów... dandunio... milioner o! nie, nigdy!... Nie trzeba więc uczęszczać do biura... to za zbyt małe dla niego zajęcie... może potém, kiedy, zechce zrobić mu ten honor, powrócić do niego, zasiąść przy swoim stoliczku i *szmagać* expedycye... Lecz na nieszczęście panowie zwierzchnicy tym razem okazali się zbyt niegrzeczni, gdy bowiem upłynął miesiąc, a Henryk nie dawał znać o sobie, udzielono mu dymisyą, jaką ten, z prawdziwą przyjął filozofią.

Dla tego też tak trafne były słowa Henryka, o pomieszkaniu w hotelu, widoczną bowiem było rzeczą, że nie dalekim

jest ten, czas w którym zrzuci pychę z serca, i wróci do dawnych czterech kątów i piątego pieca, a że to może nastąpić bardzo niespodzianie, słusznie więc że mieszkał w hotelu.

— Czy panie znają Baronową Karwicz?— zapytał po niejakim czasie Henryk, nieznaznacznie wskazując na grającego Barona.

— Nie—odpowiedziała Wizińska—gdyż Baron z nią nie żyje... rozwiódł się.

— To prawda... bo też Aurelia wcale nie dla niego... kobiéta tak piękna, tak młoda, tak uczona.

— Panie Potrzaski! czyż się uwziął aby ją chwalić?—rzekła z przekorą Laura, gniéwała ją bowiem wszelka pochwała udzielona innej kobiécie. Zwykła to jest kolej panien podobnych Laurze — dopóki lata młode—dopóki kwitną piérwsze wdzięki— dopóty widziemy ją szydzącą, dumną, pogardliwą—po kilku latach staje się zazdrosną i kapryśną, wszystko ją gniéwa i

złości, albowiem najważniejszy warunek teraźniejszego jej życia, jakim jest wyjście za mąż, dotąd się nie spełnia;—aż nakoniec staje się kobietą nieznośną, u której obmowa i potwarz — plotki i chęć siania niezgody, stają się koniecznemi warunkami życia. Oto jest powód, dla którego stara panna powszechnie bywa celem odrazy— w dzisiejszych bowiem czasach, tak ubogim w prawe, poczciwe serca, każdy się lęka, ażeby nie stał się celem pośmiewiska i przygany, do jakich podobne istoty tak są skłonne.

Oto była przyszłość Laury.

Oto jest przyszłość każdej, młodej panny, która nie posiadając majątku — tego magnesu do chwytania mężów — jedynie bogata w dumę, opartą na zasługach i znaczeniu ojca, zaprząta sobie głowę wielkością, jaka przez zamęźcie ma na nią spłynąć—gardzi uprzejmością i prostotą, temi najpiękniejszemi ozdobami dziewicy, od-

znacza się pychą i pogardą i z zimnym, szyderczym uśmiéchem odtrąca serca najszlachetniejsze, najczystsze, dla tego tylko, że one prócz mierności, nic jéj więcéj obiecać nie mogą.

Ale darujcie mi, wy wszystkie młode, piękne dziewice, które do siebie powyższe me słowa zastosować możecie, (nota bene jeżeli się znajdzie tak szczéra, iż przyzna sobie słuszność) darujcie mi!.. proszę was, niechcący bowiem tylko wysunęły mi się z pod pióra podobne morały—lecz za to, na przyszłość, zupełną już obiecuję poprawę i ani słowa wam nie powiem. Tymczasem posłuchajmy dalszéj rozmowy Henryka z panią Wizińską i jéj córką.

— Czy wiész pan, kto u nas był wczoraj? rzekła Laura po chwilowém milczeniu.

— No któż taki?

— Zgadnij.

— Nie podejmuję się nawet.

— Ależ przecie.

— Lepiej mi pani powiedz, gdyż próżno bym myślał.

— A jednak to nic trudnego... No... oto pani Wróżyńska była u nas.

— Pani Wróżyńska... czy z panną Zofią?

— Tak jest... i jeszcze z kimciś więcej.

— I z kimże?

— Z panem Konradem Robińskiem.

— Z panem Robińskim?.. toż on bywa u nich... nie wiedziałem o tém...

— Od dwóch miesięcy... i właśnie wczoraj przyszedł do nich z wizytą, kiedy jednak usłyszał, że się tu wybierają, prosił, ażeby mógł przyjść z niemi.

— I czy wiesz pan o tém—rzekła Wizińska—że jak się zdaje, dosyć już poufałe jest on z panną Zofią.

— Nie może być... przecież niedawno widziałem go zajętym zupełnie kim innym.

— O kim pan mówisz? zapytała Laura.

— Sądzę, że pani nie mam potrzeby powiadać.

— Jeżeli o méj córce chcesz pan mówić, rzekła Wizińska—to się mylisz, lubo bowiem z jego strony mogło być coś podobnego, nie mógł jednak nigdy robić sobie nadziei.... Moja córka miała by pójść za niego—dodała śmiejąc się głośno — za pana Robińskiego... ha! ha! ha! zabawnyś pan.

— Ależ pani dobrodziéjko ja nic podobnego nie mówiłem — rzekł tłómacząc się Henryk.

— Mniejsza oto... nié ma nawet co powtarzać... niech sobie Zofia, kocha się w człowieku tak nisko położonym... bo i zresztą przecież i ona samą, tylko prostą szlachcianką.

Pani Wizińska nie dokończyła, tylko dumnie podniosła głowę i uśmiechnęła się wyniośle—tryumfująco.

— Zapomniałaś mamo o prośbie jaką mamy do pana Potrzaskiego—rzekła Laura.

— Prośba... do mnie—odezwał się skwa-

pliwie Henryk—słucham... słucham co panie każą.

— Oto—rzekła Wizińska,—mamy pana prosić ażebyś chciał pójść z nami do Wróżyńskich.

— I kiedy?

— W dzień Stéj Salomei, jest to dzień imienin saméj Wróżyńskiej.

— Z największą chęcią będę paniom służył.

— Mamy więc twoje słowo.

— Tak jest.

Powoli rozmowa słabnąć zaczęła,—nie długo i grający powstali, za ich przykładem poszedł Henryk i gotował się do odejścia.

— No... Baronie—rzekł Wiziński do odchodzącego Karwicza—pamiętaj-że, ażebym drugi raz po ciebie nie chodził.

— Prosiemy być więcej grzecznym—dodała Wizińska—i częściej odwiedzać swoich przyjacioł.

— Zapytaj się mamo o Gustawa?—poszepnęła Laura.

— Będę się starał nie zasłużyć na podobny wyrzut,—rzekł Baron, całując rękę gospodyni.

— A pański syn, jakże się ma?.. czemu z panem nie przyszedł?—zapytała z pochlébnym uśmiechem Wizińska.

— Dziękuję że pani tak łaskawa i raczy pamiętać o tym niegodziwcu — szkoda tylko, że nie mogę odpowiedzić na twe pytania, dawno go bowiem nie widziałem.

— Nie widziałeś go pan?.. czyż by już z tobą nie mieszkał.

— Właśnie mówił mi Baron—odezwał się Wiziński—że Gustaw wyniósł się od niego.

— Wyniósł i gdzie?

— I tego nie wiém—odpowiedział Karwicz — panicz bowiem prowadzi jakiś romans... i dla tego się ukrywa.

Na te słowa Wizińska prawie do krwi

przygryzła wargi a Laura nagle poczerwieniała i znowu zbladła, miętosząc w ręku batystową chustkę.

— No... żegnam—rzekł Baron.

— *Bon' soire* — zawołał Henryk i za Karwiczem opuścił salon Wiźińskich.

— Oto młodzież teraźniejsza!—zawołała Laura pozostawszy sama z matką — tylko pokątne miłostki... tylko ze szwaczkami, modniarkami zadawać się umieją... unikają porządnych domów, a idą tam, gdzie tylko poniżyć się mogą... o! biedne! biedne my kobiety... na co zdało nam się uczyć... co nam po téj edukacyi, po wychowaniu, kiedy tak mało kto, a nawet nikt prawie, poznać się na tém nie umie.

Jeszcze dłużéj utyskiwała Laura na niestałość mężczyzn, i nie uspokoiła się aż w łóżku, lubo i tu, gniew, nie prędko dozwolił jéj usnąć.

— Spiącej, marzyło się, że szła za mąż za Jaśnie Wielmożnego, że czekał na nią

herbowy powóz i galonowana służba—że wspaniałe salony otwiérały się dla przyjęcia nowéj gospodyni.

Był to sen tylko—dobrze jednak gdy choć we śnie spełniają się nadzieje. Zawsze jest to nie jaką pociechą.

XIII.

POŚWIĘCENIE.

BARDZO rano wstała Aniela, nazajutrz po dniu, którego schyłek spędziła w domu Ernesta.—Jej twarz była blada i zmieniona— oczy napuchłe od płaczu; gdyż nie rozbiérając się wcale, przepędziła noc przewracając się po łóżku, i coraz nowemi zaléwając się łzami. Łatwo więc było jéj matce dojrzéć cierpień, wyrytych na licu córki— przywołała ją zatém, a biorąc za rękę, rzekła:

— Moje dziecię... ty płakałaś.

— Mów ciszéj matko — rzekła Aniela, nie rada powyższemu zapytaniu — obudzisz ojca... a jeszcze spi.

— I cóż, czy nie odpowiész mi na moje pytanie?—rzekła znów matka, gdy Aniela po uczynieniu powyższéj uwagi, nic więcéj nie mówiła.

— Na co mam odpowiadać? — zapytała dziewica, umyślnie się odwracając, aby uniknąć wzroku matki, która ciągle jéj się przypatrywała.

— Powiedz mi, dla czego twoje oczy tak czerwone... czyś nie spała?

— Zgadłaś matko — odpowiada Aniela, kontenta, że znalazła sposobność nie odkrywania smutnéj prawdy, i pokrycia jéj nic nie znaczącą wymówką—głowa mnie okropnie bolała... dla tego też oka zmrużyć nie mogłam.

— To połóż się teraz.

— Próżno... nie mogła bym usnąć... Lecz czy słyszysz matko ktoś puka?

Aniela otworzyła drzwi, i zdziwiona, ujrzała przed sobą jakiegoś, nieznajomego jéj mężczyznę.

— Proszę... kazano mi pannie oddać— rzekł on, oddając Anieli nie wielki bilecik.

Dziewczyna rzuciła oknem na adres i swoje wyczytała nazwisko.

— Zaczekam na odpowiedź, rzekł posłaniec—siadając na krześle w końcu izby.

Nim z Anielą przeczytamy bilet, jaki w téj chwili odebrała, musiemy pierwéj wyjaśnić pewne okoliczności z nim związek mające.

Znaną nam już jest miłość Barona, jaką ten nagle uczuł dla Anieli—pamiętamy, że jedynie dla rozerwania się, i zapomnienia na chwilę dręczącéj go namiętności, udał się do Wizińskich — ale i tu nie znalazł pokoju jakiego szukał: lubo jego oczy patrzyły w karty, myśl jednak z daleka od

nich bujała — grał, lecz grał jak atomat, bez myśli i uwagi.

Po skończonej zabawie powrócił do domu. Położył się; lecz nie spał—gdyż ilekroć przymknął oczy, wnet stawało przed nim rozkoszne widmo w postaci Anieli, które w moment jak mgła się rozpływało, skoro Karwicz wyciągnął ku niemu dłonie.

Nakoniec zabłysnął ranek.

Baron zmęczony, blady, prawie bliski rozpaczy, opuścił posłanie.

Kiedy nagle nowa myśl błysła w jego umyśle.

Była to myśl jedyna, przez jaką mógł być prawie pewnym spełnienia swych żądań.

Pochwycił więc ją skwapliwie.

I wtedy to napisał list, jaki dopiero co doszedł rąk młodej dziewczyny.

*

* — *

Aniela pobiegła do okna, złamała pieczątkę i zaczęła czytać następujące słowa:

„Anielo!... ty, która może gardzisz mną,
„i brzydzisz się samém mém wspomnie-
„niem, posłuchaj co piszę do ciebie... co
„pisze do ciebie dumny Baron, otoczony bo-
„gactwy i świetnością, a jednak gotowy
„zniżyć się i błagać cię, ażebyś go dłużéj nie
„odrzucała. Nie lękaj się słów moich, nie
„myślę bowiem przemawiać tak jak wtedy,
„kiedy powodowany namiętnością, udałem
„się do twego mieszkania i chciałem cię
„gwałtem lub powabem złota, zmusić do
„zadosyć uczynienią mym żądaniom. Dziś
„zupełnie z inną duszą staję przed tobą...
„bo dziś ja ciebie kocham... kocham jak
„waryat... jak szalony!... całe dwa miesią-
„ce walczyłem z tém uczuciem, i starałem
„się przytłumić je w méj piersi... próżne
„jednak były me zabiegi... moja miłość
„nie zmniejszała się, lecz codzień stawała
„się silniejszą... namiętniejszą... aż w koń-
„cu poznałem, że mi żyć bez ciebie nie
„można... że choćby za nie wiem jaką ce-

„nę muszę cię posiąść... musisz do mnie
„należeć... w tym celu odzywam się do cie-
„bie: zostań moją żoną... podziel mój los...
„moją świetność .. mój majątek... zechciej
„mnie kochać a więcéj pragnąć nie będę...
„A czy wiesz Anielo, że ty mnie kochać
„musisz... powinnaś... jeżeli nie dla mnie,
„to przez miłość dla matki, przez przywią-
„zanie dla twego chorego ojca, którym ja
„mogę zapewnić przyszłość... uczynić ich
„życie spokojném i szczęśliwém. Wczoraj
„mówiłem z doktorem Jeżowskim — wspomi-
„nał mi, że twoi rodzice, zupełnie by przyszli
„do siebie, gdyby tylko jakiś czas mogli
„przepędzić na wsi... otóż ja mogę zara-
„dzić temu... téjże saméj chwili, w któréj
„oddasz mi rękę, doręczę twemu ojcu akt
„darowizny prześlicznego folwarku, o dwie
„mile od Warszawy, gdzie będzie mógł wśród
„swobody i dobrego bytu, dokończyć reszty
„dni swojego życia... Namyśl się więc...
„posłaniec czeka na twoją odpowiedź... je-

„dno słowo... jedno tylko słowo... a rodzi-
„ce do śmierci błogosławić cię będą."

Baron Karwicz.

Aniela zamyśliła się, obietnica jaką jéj uczyniono była tak ponętną... tak rokującą szczęście tym, którzy jéj byli najdroższemi w życiu — iż gotową była zrobić ofiarę z własnéj pomyślności, byle takową zapewnić dawcom swego życia. Ale nagle stanął przed nią obraz Ernesta, a z nim miłość, jaką dla niego jéj serce gorzało... i załamała ręce—opuściła głowę... łzy pociekły po jéj twarzy.

Jeszcze Aniela się nie uspokoiła, kiedy nagle otworzyły się drzwi, i do stancyi wbiegła Magdalena zadyszana i zmęczona.

— O, okropnie się zmordowałam — zawołała—biegłam też ile mi sił starczyło.

— I cóż stało się tak nagłego?—zapytała Aniela—czyż by pan Ernest?

— O tak... tak... o nim chcę mówić—

rzekła stróżka—bo trzeba ci wiedzić, że się dowiedziałam wszystkiego.

— O czém się dowiedziałaś?

— A o panu Kalickim... umyślnie chodziłam na Leszno, byłam w domu do którego codziennie uczęszcza pan Ernest... widziałam i tę panienkę którą on kocha i któréj wczoraj się oświadczył.

Słysząc to, Aniela, jakiś czas, nie umiała słów znaleść, aż nakoniec przyszedłszy do siebie,—rzekła drżącym, przerywanym głosem.

— Pan Ernest... się oświadczył... i... któż ci... o tém... mówił..

— Służąca, zostająca u matki panny Emilii... Bo tak na imie przyszłéj żonie pana Kalickiego.

Na tę wiadomość, do reszty rujnującą jéj marzenia, gwałtowna boleść ścisnęła serce Anieli—list wypadł z jéj rąk—osłabiona, ręką oparła się o stół, ażeby nie upaść.

— A to co za pismo?—zapytała Magdalena, podejmując papiér z ziemi.

— Czytaj go... a dowiesz się wszystkiego.

— Zabij mnie! lecz nie zrobię tego... bo ani mój mąż, ani ja, nie znamy i jednéj litery.

— Daj więc!... przeczytam ci go — rzekła Aniela obcierając oczy.

Aniela zaczęła czytać, czytała jednak tak cicho, że ani jéj matka ani ojciec, który właśnie tylko co się przebudził, nie usłyszeli ani słowa.

— Sliczny mi interes,—rzekła Magdalena, gdy dziewczyna skończyła czytanie— możesz zostać Baronową... będziesz miała prześliczne suknie,.. powozy... konie... wszyscy będą ci się kłaniać... i biedna Magdalena nie raz jeszcze przed tobą schyli głowę.

Aniela gorzko, boleśnie się uśmiechnęła.

— A może ty nie chcesz iść za Baro-

na—zapytała znów Magdalena—on stary... a ty tak młodziutka.

— Zostanę jego żoną — odpowiedziała z rezygnacyą Aniela—i dla tego chcę ciebie prosić, ażebyś o tém uprzedziła moich rodziców.

Po tych słowach Aniela, wzięła kawałek papiéru, i te tylko słowa *na* nim napisała:

„Stanie się jak pan chciałeś... możesz „więc przybyć, oczekuję cię... Lecz pamię„taj nawzajem dotrzymać swéj obietnicy.”

Aniela.

Zapieczętowawszy, doręczyła bilecik czekającemu posłańcowi.

Zaraz po jego odejściu, Magdalena, czyniąc zadosyć życzeniom Anieli, powiedziała jéj matce o niespodziéwanéj pomyślności, jaka może spłynąć na głowę jéj córki.

Matka odwołała się z tém do Anieli; gdy zaś ta oświadczyła zupełną gotowość

i udając wesołą i zadowoloną z uśmiechem mówiła o swej pomyślnej przyszłości—upadła na kolana, a składając ręce, dziękowała niebu, za *szczęście* swej córki.

Biedna kobieto! o gdybyś wiedziała, co się w tej chwili dzieje w sercu twego dziecka—pewno nie uczyniła byś podobnie!

*
* *

Nie długo przyszedł i Karwicz; Aniela tłumiąc łkania, gniotąc boleść w sercu, oświadczyła mu gotowość oddania swej ręki.

* *
*

W najpierwszą potem niedzielę, wyszła jedna za indultem zapowiedź.

Tegoż samego dnia, Aniela, w kościele OO. Kamedułów przysięgła doskonną wiarę i miłość Baronowi Karwicz.

Stało się zadosyć poświęceniu tej cnotliwej córki—przyszłość jej rodziców była już zapewnioną.

Lecz cóż się stanie z jéj przyszłością?.. co będzie z jéj życiem, jakie ma wieść obok człowieka, którego nie dawno tylko pogardy godnym uważała?...

Dreszcz przebiegł ją na to wspomnienie; załamała ręce, wspomniawszy na złote sny, nie dawno do niéj się uśmiéchające.

Napróżno było jéj wywoływać te marzenia—już one dla niéj zginęły—zamarły na zawsze—dziś nic, nic dla niéj nie pozostało, jak tylko śmierć: jéj więc pragnęła. I że umrze to pewno—późny tylko bowiem wiek, umié znosić cierpienia—umię walczyć z losem—ranne lata nie ostoją przed boleścią.

XIV.

ZERWANA UPRZĄŻ.

—

Dopóki Henryk miał do czynienia z Łubowskim, który w tak krótkim czasie uczynił go panem kilku tysięcy złotych, dopóty nie był w możności uczęszczać do tych wszystkich domów, w jakich dawniej zwykłym był gościem; albowiem przewodnictwo nad wieśniakiem, zajmowało mu większą część godzin—Lecz kiedy teraz, Łubowski, coraz bardziej stronił od milionera, Henryk, na nowo rozpoczął dawniejsze

wizyty, a rozpoczynał je z tym większą dumą, cała bowiem jego toaleta i wiele innych drobiazgów, znamienowały bogactwo, gust i wytwór. Wprawdzie, był to tylko blask pożyczony, jaki zgaśnie, skoro Łubowskiemu — jaki w tym razie był słońcem dla milionera—spodoba się porzucić modnisia i zamknąć przed nim swój worek—nikt jednak o tém nie wiedział—Henryk więc, mógł być pysznym bezkarnie.

W liczbie wizyt, jakie Henryk postanowił oddać, były i odwiedziny domu Aurelii gdzie oddawna już nie był.

Wybrał do tego dzień przeznaczony na literackie posiedzenie; żeby zaś swoją osobą, wzbudzić tém większe wrażenie, tak wyrachował, że godzina przeznaczona na wizytę, wypadła w chwili, kiedy zwykle u Aurelii, wszyscy się już zgromadzali literaci.

Zdziwił się więc niezmiernie, kiedy zapytany lokaj, powiedział mu; że pani jest samą.

Po zameldowaniu, Henryk, zaproszony został do salonu.

— O! dobrze że przychodzisz!—zawołała Aurelia, wyciągając rękę do przybyłego — będziesz musiał pojechać ze mną w pewne miejsce.

— Najpierwej racz mi powiedzić—rzekł siadając *Henryk*—dla czego dziś, nikogo nie ma u ciebie?... a przecież to zwykły dzień posiedzeń.

— I ty racz mi nawzajem powiedzić— rzekła Aurelia — dla czego tak dawno u mnie nie byłeś?

— Ja nie mogłem... miałem wiele do czynienia.

— To tylko wymówki mój panie... ale mniejsza o to... nie mam humoru gniewać się na pana... a zresztą, choćbym chciała, nie mam czasu, albowiem natychmiast wyjeżdżam.

— Pani wyjeżdżasz... a zatém jestem niepotrzebnym.

— Przeciwnie... potrzebniejszy jak kiedy... będę cię bowiem prosić, ażebyś chciał mnie towarzyszyć.

— Towarzyszyć tobie... gdzie?... do kogo?

— Do pewnéj mojéj przyjaciółki... biédaczka! chciała być emancypowaną!... lecz jakoś trudno jéj idzie... a co najważniejsza, nie pojmuje przeznaczenia emancypacyi i zamiast być śmiałą... zamiast coby miała z podniesionem czołem i uśmiéchém na ustach, dążyć do celu, ona lęka się i kryje.

— Lecz o kim mówisz Baronowo?.. racz mi powiedzić.

— Nie wiém czy ją znasz... nie dawno bowiem mieszka w Warszawie.

— Nic z tego... powiédz mi zawsze jéj nazwisko.

— Kamilla Dańska.

— Dańska... ach to pewno żona tego bogacza, który ma być piérwszym milionerem.

— Taż sama... czy widziałeś ją?

— Widziałem raz w teatrze... będzie temu blisko trzy miesiące, lecz nikt nie umiał ani powiedzić jéj nazwiska, i dopiéro przed parą tygodniami, przypadkiem, o nim się dowiedziałem.

— Bo też wtedy, tylko co przyjechała do Warszawy.

— Ależ jéj mąż okropnie stary.

— Dosyć... to też spowodowało mnie, że postanowiłam sobie naprowadzić ją na dobrą drogę; i sam los sprzyjał moim zamiarom, w tymże bowiem czasie, Kamilla, poznała pewnego młodego człowieka, który się w niéj szalenie zakochał, i tylko trzeba mu było kogoś, do bliższego zapoznania go z jego kochanką.

— I ty Baronowo stałaś się tą pośredniczką... wszak prawda?

— Zgadłeś... cóż jednak robić, kiedy nie na wiele jéj to pomogło, i Kamilla, zamiast co by miała nie kryć przed światem swéj miłości, lecz czyniąc ją jawną, szy-

dzić z jego sądu i zmusić do umilknięcia—ona, zagrzebała się wraz z swoją miłością w oddalonéj wilii, jakby lękając się, ażeby mąż nie dowiedział się o jéj uczuciu — kiedy przeciwnie, do ustalenia emancypacyi, koniecznie potrzebném jest, ażeby mężczyzni poznali, że i kobiéty mogą mieć swą władzę.

— Dla téj więc wizyty?—zapytał Henryk—nie ma dziś u ciebie zwykłego zebrania.

— O nie... lecz od kilku dni, nasi członkowie nadzwyczaj się rozpiérzchli. Natalia i Edmund wyjechali na wieś—z Arturem pogniéwałam się—pan Synezyusz nié ma czasu gdyż pisze romans, tak więc z całego koła literatów, pozostałam tylko ja, i ty Henryku.

Gdy to mówiła Aurelia, wszedł służący, i oznajmił, że powóz już jest gotowym.

— Natychmiast i ja nią będę — rzekła Aurelia powstając—mój Henryku zaczekaj

chwilkę na mnie, tylko włożę kapelusz i salopę.

I przeszła do pobocznego pokoju.

— Gdzież wię jedziemy?—zapytał wracającej Henryk.

— Czyż nie mówiłam ci... do Kamilli.

— A potém.

— *Potem*, przymuszę ją, ażeby pojechała z nami razem na wiejską kawę, i jéj kochanek będzie musiał nam towarzyszyć, a właśnie, pewno go u niéj zastaniemy.

— Jakże się nazywa jéj kochanek? jeszcze mi tego nie powiedziałaś—rzekł Henryk, sprowadzając lwicę ze schodów.

— I nie powiém... spodziewam się bowiem, że go znasz... będziesz więc miał niespodziankę.

Henryk wsadził Baronowę do czekającego na nią, powozu i sam siadł przy niéj.

— Ale czy wiész Henryku—rzekła Aurelia, gdy powóz ruszył—jaką wczoraj usłyszałam nowinę?

— No?

— Oto, że Baron się ożenił.

— Twój mąż Aurelio?

— Tak jest.

— Wiedziałem o tém.

— I nie wiész z kim.

— Z pewnością nie wiem... ale podobno ma być to bardzo uboga dziewczyna, w któréj Baron szalenie się kochał; kiedy jednak ona, nie chciała być powolną jego żądaniom, wtedy, nie mając co robić, postanowił ożenić się i ożenił.

— Ha! ha! ha! śmiészna to rzecz... chciała bym go była widzić jak wyglądał przy ołtarzu, biédny człowiek!.. musiał do reszty rozum stracić.

Pozostawmy na chwilę Aurelią i Henryka, dążących do mieszkania Kamilli, a wyprzedziwszy ich, udajemy się tamże, ażeby wyjaśnić niektóre okoliczności.

*
* *

Pamiętamy pewno ów dzień, w którym

Gustaw, tak nie spodziewanie stanął przed zdziwioną Kamillą—od tego czasu przeszło dwa miesiące upłynęły, jakie w niczém nie zmieniły położenia dwojga kochanków.

Z początku, Kamilla, chciała się opierać uczuciu, tak gwałtownie wciskającemu się do jéj duszy — niezdolną jednak była do podobnéj walki i Gustaw, nie wiele miał trudu, do reszty zawładnąć, już przez pół oddaném sobie sercem.

Odtąd regularnie co dzień, większą część dnia, spędzał w wiejskiém mieszkaniu Kamilli — zwykle wchodził temiż samemi drzwiami, jakie mu raz ułatwiły wstęp do budoaru młodéj kobiety—jedna tylko Franciszka wiedziała o tych schadzkach, nikt więcéj ze służby nie znał Gustawa, ten bowiem zwykle, przyjeżdżając, zostawiał powóz w niejakiéj odległości, i sam piechotą szedł do ogrodowéj furtki, którą otwierała mu Franciszka, a przeprowadziwszy go przez

długi szpaler, wprowadzała do oranżeryi, a ztąd do znanego nam już pokoju.

Lubo już była późna jesień, Kamilla jednak nie myśli przenosić się do miasta, i nie zważając na niewłaściwość zamieszkiwać wieś w miesiącu Listopadzie, Kamilla szczęśliwą była żyjąc w swéj wilii—szczęśliwą wzajemną miłością.

Parę razy, mąż Kamilli, odwiedzając ją—co jednak bardzo *rzadko się trafiało*—radził jéj powrót do stolicy—ale Kamilla składała się słabością zdrowia, jakie zmuszało ją pozostawać na wsi, gdzie świeże powietrze, było pożądanym dla niéj lekarzem. Tym śmieléj mogła czynić podobne wymówki, albowiem od dwóch miesięcy Hoeckel nie znajdował się w Warszawie, i dotąd jeszcze nie powrócił — nie miała więc potrzeby lękać się, przejmujących ją odrazą jego odwiedzin.

Prawdę powiedziała Aurelia twierdząc, że znajdą tu Gustawa, bo i rzeczywiście

był on w téj chwili w pokoju Kamilli, a siedząc obok swéj kochanki, z zapałem powtarzał przysięgi wiecznéj, nieskończonéj miłości.

— A więc na prawdę tak bardzo mię kochasz — rzekła Kamilla wysłuchawszy mówiącego.

— Ty się pytasz oto Kamillo... niewdzięczna! czyż mało dałem ci dowodów?.. czyż ci ich więcéj trzeba.

— Ale bo widzisz mój Gustawie, ja się tak lękam... ażeby to szczęście jakiego w téj chwili doznaję, wkrótce się nie skończyło... nie wiém zkąd, ale mam jakieś przeczucie, coś mi mówi, że ty mnie kochać przestaniesz.

— Chyba w grobie!—zawołał z zapałem Gustaw—piérwéj nigdy... przysięgam ci...

— A gdyby los kazał się nam rozłączyć... gdyby mój mąż wyrwał cię z moich objęć... wtedy....

— Wtedy... zabił bym go—rzekł Gustaw ponuro — widać jednak było, że co mówił

nie pochodziło z przekonania, jedynie mówił podobnie, że to wypadało z jego roli.

— Zabił byś go—rzekła Kamilla opierając rękę na ramieniu młodzieńca, i pałający wzrok wpijając w jego oblicze — zabiłbyś... czy na prawdę?

— Przysięgam ci!

— Ach kocham... stokroć więcej kocham cię za to Gustawie!—zawołała Kamilla, zarzucając ręce na szyję młodzieńca—bo i ja też nie mogła bym żyć bez ciebie... ja bym umarła nie czując twych uścisków, twoich pocałowań... i ty.

— I ja bym nie przeżył! — zawołał Gustaw... lepiej więc jeśli ma przyjść do tego, niech on... niech twój mąż umiera... jeśli koniecznie ma być śmierć.., niechże będzie jedna.

— Lecz to nie nastąpi wszak prawda?— rzekła Kamilla pieszczotliwie—my będziem żyć... żyć dla siebie... ale i on nie umrze... o!.. my tak długo... długo jeszcze razem

z sobą być musiemy... długo... aż do skonu... co mówię!.. i po nim jeszcze się nie rozstaniemy... lecz razem... z sobą, utoniemy w wieczności!

— O tak.... Aniele mój! — zawołał Gustaw, i przytulił wietką postać kobiety do swoich piersi.

W téj chwili drzwi się otworzyły.

Weszli Henryk i Aurelia.

Gustaw zerwał się—Kamilla zmięszana, nie śmiała podnieść oczu.

— I cóż się wam stało—rzekła śmiejąc się Aurelia, wyglądacie jak dwoje dzieci, gdy matka zejdzie ich na psocie... i po cóż ta nieśmiałość... ta bojaźń... Kamilciu moje kochanie—dodała siadając obok pani Dańskiéj—raz że okaż iż pojęłaś emancypacyą.

Ale Kamilla zmięszana, zgnębiona, nie umiała jéj słowa odpowiedzić.

— Ach to pan Baron Gustaw—zawołał Henryk poznawszy młodzieńca — słusznie

mówiła mi pani Karwicz że pewno pana znam i właśnie nie omyliła się.

Gustaw odpowiedział zimném, obojętnem głowy skinieniem.

— Kamillo... miejże rozum — odezwała się znów Aurelia, widząc pomięszanie swéj przyjaciółki—nie bądź że dzieckiem... przecież nikt cię ganić nie myśli za to, co mogłaś uczynić, przeciwnie, należy ci się napomnienie za tę tajemniczość, jaką starasz się otoczyć... I po cóż to... czyż sądzisz, że ona pomoże ci do twojego szczęścia?.. że ukryje go przed światem?.. przeciwnie, im bardziéj będziesz starała się uczynić skrytém swe postępowanie, tym prędzéj ludzie odkryją twą tajemnicę. Kiedy zaś śmiało i otwarcie czynić będziesz, wtedy świat nie tylko że ci nic nie zarzuci, ale jeszcze podziwiać i wielbić cię będzie.

— A mąż?... wyjąkała Kamilla.

— Mąż? czy jeszcze o nim myślisz!— zawołała z głośnym śmiechem Aurelia—

niech się dowie jeżeli ma ochotę... przecież ci nic złego zrobić nie może... najgorszém by było to, gdyby cię porzucił, a że to nie jest wielkiém nieszczęściem, najlepszy masz przykład ze mnie.

— Masz słuszność—rzekła po chwilowém zastanowieniu Kamilla—a jeszcze nigdy mi to na myśl nie przyszło.

— Kiedy nakoniec udało mi się przekonać ciebie—rzekła znów Aurelia—posłuchaj mojego planu.

— Twojego planu... i jakiż on?

— Oto, ażebyś pojechała ze mną na Wiejską Kawę.

— Kiedy?

— Teraz.

— Teraz... a ci panowie?

— Pojadą z nami także... wszak prawda Gustawie.

— Na co się mam zgodzić?—zapytał Gustaw.

— Jedziemy na Wiejską Kawę... i ty

więc musisz jechać z nami... albo inaczej, ze mną, z panem Henrykiem i Kamillą.

— Nie wiém czy to będzie dobrze— rzekł wahając się Gustaw.

— Co i ty zaczynasz—ach!... bieda z takiemi tchórzami... a może Gustawie lękasz się ażeby nie spotkał cię pan Dański i nie obił?..

Gustaw pobladł i przygryzł wargi.

— Nie o mnie tu idzie — rzekł — ale pani.

I wskazał Kamillę.

— Nie lękaj się o nią... chwała Bogu! przecież raz zgodziła się ta droga Kamilla okazać światu, że umie być emancypowaną... a zresztą, czyż nie jedzie pod moją opieką.

Nic więc nie sprzeciwiało się zamierzonéj przez Aurelią przejażdżce, i nie długo też Kamilla była do niéj gotową, a wsiadłszy wraz z Baronową i dwoma młodzieńcami do czekającego na nich powozu,

wyjechali z oddalonej wilii, dążąc do gwarnego, hałaśnego miasta.

Siedzący w ekwipażu, wesołą zabawiali się rozmową—Aurelia jéj przewodniczyła—Henryk również nie szczędził języka—Kamilla z początku nie śmiała, powoli zaczęła się ożywiać. Gustaw tylko był smutnym i milczącym, jak gdyby jakaś przykra myśl go naciskała.

Wjechali na Nowy-Świat, kiedy nagle konie zlękły się czegoś, i spinać się zaczęły—stangret chciał je wstrzymać, lecz jego siła nie podołać nie mogła a uprzęże poplątały i porwały się: dalej jechać było niepodobieństwem — stanąć też nie można było, spłoszone bowiem konie, na oślep pędziły ulicą.

Głośny krzyk wydały kobiety—Gustaw i Henryk powstali ze swoich siedzeń, ażeby pomódz woźnicy w powodowaniu rozhukanemi końmi—ale i oni nie wiele poradzić mogli—powóz leciał pędem strzały—

zewsząd słychać było wołania przechodzących, jakie bardziéj jeszcze straszyły konie. Aż nakoniec dwóch czy trzech wyrobników, jacy nadeszli w téj chwili, śmiało rzuciwszy się przed konie, silném ramieniem zatrzymali je i zmusili do uspokojenia się.

Natychmiast Gustaw a za nim Henryk, wyskoczyli z powozu.

Aurelia naśladowała ich—jedna tylko Kamilla nie miała sił pójść za swą towarzyszką.

Gustaw musiał ją prawie wynieść na ręku, ażeby wysadzić z powozu.

Właśnie kiedy to czynił, ukazał się z pobocznéj ulicy długi szereg kobiet, jednakowo przybranych.

Cały ich ubiór składał się z czarnego, sukiennego kaftanika i buréj, również sukiennéj spódnicy—białe z falbanami czépki, okrywały ich głowy. Strażnik szedł za niémi i pilnował porządku.

Nagle jedna z tych kobiet blada i wy-

więdła, spojrzawszy na zatrzymany powóz i Gustawa wysadzającego Kamillę—zadrżała i przystanęła.

— No idź... czemu się zatrzymujesz— zawołał strażnik.

Kobieta posłuszna rozkazowi, postąpiła parę kroków; wnet jednak staje, i znowu zaczyna się przyglądać Gustawowi, który z całą troskliwością, na jaką tylko mógł się zdobyć, zajmuje się osłabioną Kamillą.

Lekki, zaledwie dosłyszany krzyk, wydarł się z piersi kobiety—jéj oczy błysnęły—twarz zapałała a usta wyszepnęły:

— To on!!! to on!!!

I nie zważając co czyni, zapominając na postępującego za nią strażnika; porzuca swe towarzyszki, i przeciska się przez tłum zgromadzonych.

— Szalona!... gdzie biegniesz?... czekaj!— zawołał strażnik, dążąc za biegnącą — nie bój się... nie uciekniesz... trzymajcie ją!... trzymajcie!...

Kobieta, nie zdaje się słyszeć tych słów—rozpycha ciżbę—tłoczy się—aż stanęła o dwa kroki od powozu, tuż obok Gustawa i Kamilli.

Nie czekając i chwili, rzuca się do nóg młodego Barona.

Zdziwiony Gustaw cofnął się krokiem—spojrzał—i zadrżał.

Poznał Maryą.

Koniec Tomu Piątego.

SPIS ROZDZIAŁÓW
TOMU PIĄTEGO.

DAGUEROTYPY WARSZAWY

Wychodzą w poszytach w każdy Wtorek; cena całkowitego dzieła Złp: 24 wynosząca, rozdzieloną być może na raty tylko po Złp: 1.

(Poszyt 6 wyjdzie we Środę d. 3 Lutego).